ŁOWIEC



1878-1928



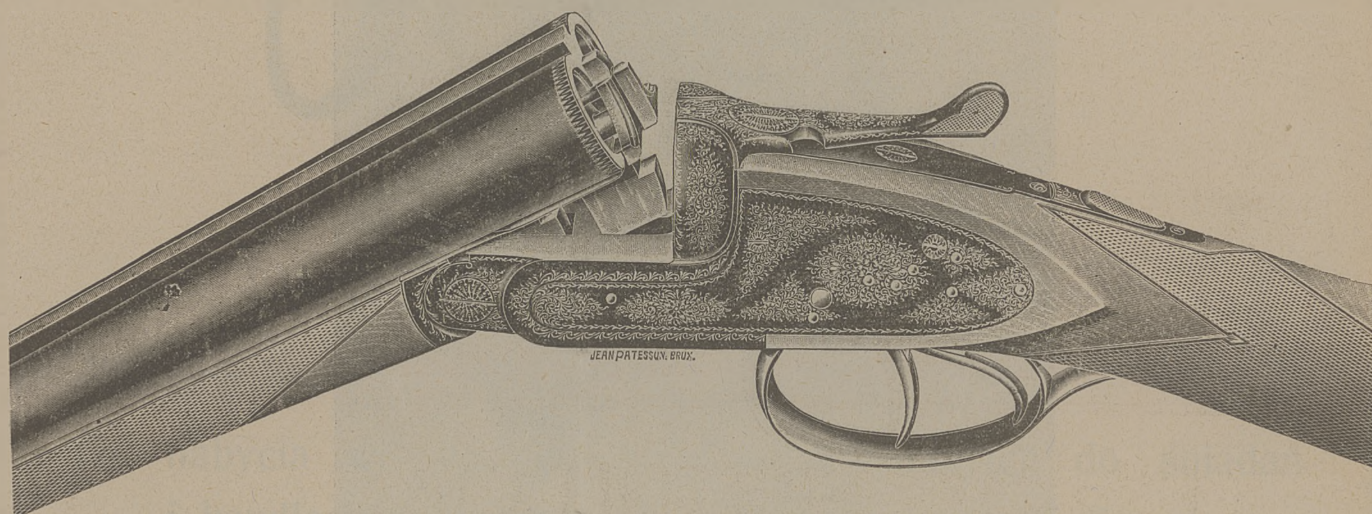
Fabryka broni

Fs. DUMOULIN & C°

ROK ZAŁOŻENIA 1849. ROK ZAŁOŻENIA 1849.

Liège — Belgja

Broń luksusowa i eksportowa



Specjalność:

Bezkurkowe Anson-Deeley
Bezkurkowe Holland-Holland, gołębiarki i do kniei
Dubeltowe Sztućce.

Kilkakrotne odznaczenia przy strzelaniu gołębi w Polsce.

Składy we większych miastach Polski.

Myśliwi! Żądajcie wszędzie tylko marki

Fs. DUMOULIN & C°

NR. 23—24. WE LWOWIE, 16. GRUDNIA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE „ŁOWCA“
(1878—1928)
WIZERUNKI REDAKTORÓW.

W dziejach wspaniałego rozwoju łowiectwa polskiego wogóle, a w szczególności na ziemiach dzisiejszej Małopolski, ogromne zasługi położył „Łowiec“.

Czasopismo to jako organ pierwotnie Galicyjskiego, a następnie Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, było jego i jest dotychczas wyrazem myśli twórczej, skarbnicą myśliwskiej wiedzy, oraz krzewicielem ideowej pracy na łowieckiej niwie.

To też, gdy „Łowiec“ w roku bieżącym pięćdziesiątą obchodzi rocznicę swego istnienia, godzi się podnieść i we wdzięcznej pamięci myśliwych naszych utrwalić zasługi jego redaktorów.

Wprawdzie o każdym z nich już w pracy p. t. „Pół Wieku“ pobieżnie wspomniano, jubileuszowy wszakże egzemplarz wyrazistszego domaga się rysunku ich sylwetek.

W szeregu zmarłych, którzy idei tej nieśli swą wiedzę i pracę, najzaszczytniejsze miejsce zająć musi wybitna postać pierwszego redaktora „Łowca“, którym był Józef Łoziński.

On to uproszony przez założyciela naszego Towarzystwa, Włodzimierza hr. Dieduszyckiego, podjął się kierować pierwszemi krokami fachowego pisma łowieckiego, dać mu formę, wprowadzić je na właściwe tory, dostarczyć interesującej treści i rozbudzić życie w duszy myśliwych, przeżuwających podówczas resztki tradycji przodków swoich.

Wielce zasłużony mąż ten był z zawodu kustoszem Bibljoteki Poturzyckiej. Jako syn ziemianina-emigranta, — oddany w opiekę ojcu twórcy Muzeum przyrodniczego, wychowywał się od lat chłopięcych wespół z hr. Wł. Dieduszyckim i był tegoż towarzyszem w badaniach tajników przyrody i arkanów myśliwskich.

Sprzyjające okoliczności, a więc: wielkie łowy w sławnych kniejach poturzyckich i pieniackich, w których Łoziński w gronie asów łowieckiego kunsztu polował, oraz przebogaty Księgozbiór im. Dieduszyckich — były tą znakomitą szkołą, która urobiła zeń skończony typ myśliwca - literata, ukwalifikowanego zupełnie na kierownika łowieckiego pisma.

Pierwszy numer „Łowca“ pod redakcją Łozińskiego wyszedł z pod tłoczni drukarskiej dnia 10 stycznia 1878 r.

W „Słowie wstępnem“ wystawia mu czcigodny redaktor metrykę chrztu i piękną u kolebki noworodka nuci kołysankę, budząc treścią słów płomiennych w sercach łowców zapał do pracy na zaniedbanym zagonie myśliwskim.

Poczem na łamach tego czasopisma, wielki ten znawca myślistwa i duszy łowców, snuje nić złotą z ducha starych czasów, roztaczając przed ich oczyma galerję wspaniałych obrazów minionej sławy polskiego łowiectwa rycerskiego; przyczem omawia również aktualne zagadnienia racjonalnego myślistwa chwili bieżącej, oraz własne pisze artykuły z dziedziny przyrody.

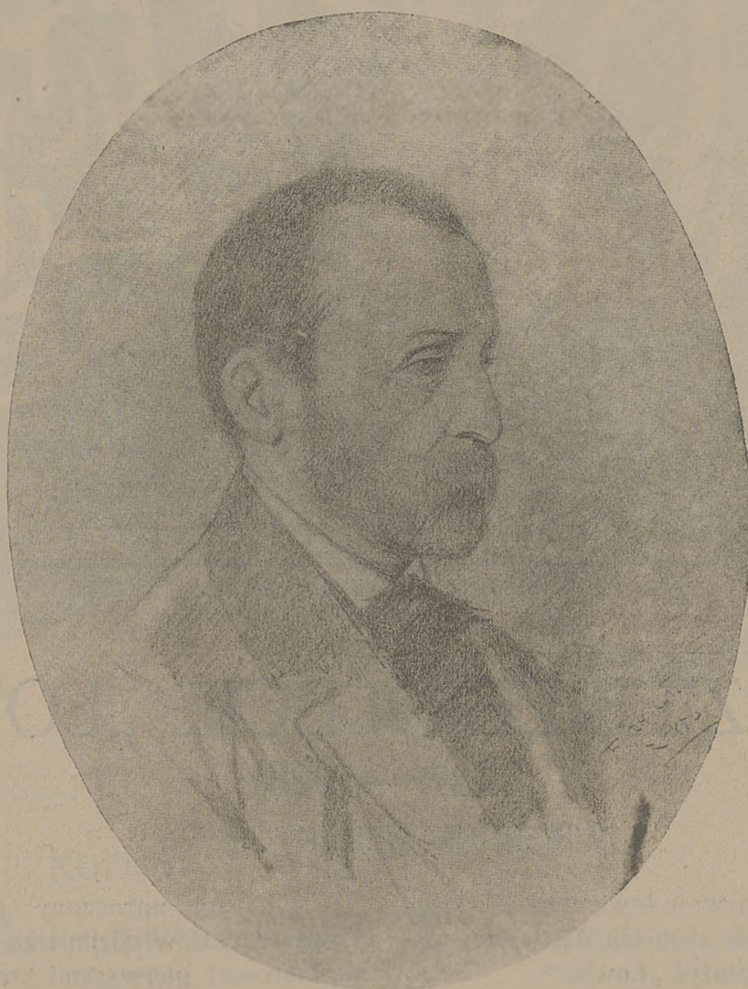
Rychło też bogata i piękna treść „Łowca“ pod redakcją Łozińskiego, zwraca uwagę polskiej prasy codziennej, perjodycznej, tudzież fachowych pism niemieckich, czeskich i węgierskich.

Pierwszą wzmiankę pochlebną dla naszego redaktora, pióra J. I. Kraszewskiego, przynosi nr. 115 z d. 3 marca 1878, warszawskiej „Biesiady“.

W ślad za nią długi szereg innych czasopism naszych i obcych pośpiesza z wyrazami rzetelnego uznania zasług dla początkującego „Łowca“, który odrazu potrafił wznieść się na poziom fachowych pism zagranicznych. *)

Sięgając myślą w dziesięciolecie działalności J. Łozińskiego — twórcy pierwszego perjodycznego czasopisma łowieckiego w Polsce — podziw przedewszystkiem budzi jego żelazna wytrwałość, dzięki której zdołał pokonać wszelkie w początkach trudności, związane z wydawnictwem „Łowca“, nawrócić niedowiarków i niebawem zaprząc ich do współpracy, postawić pismo polskie na wyżynie europejskiej miary, oraz przysporzyć myśliwym naszym dużo wiedzy i rozkoszy jego bogatą treścią.

*) Dotyczące szczegóły zawarte są w pracy p. t. „Pół Wieku“ przy omawianiu treści 1-o nr. „Łowca“ z r. 1878.



Rys. Franciszek Tepa.

JÓZEF ŁOZIŃSKI

Oto garstka słów oceny, hołdu i błogiego wspomnienia ze strony piszącego, jako marnego, lecz wdzięcznego ucznia nieodżałowanego Mistrza.

Aby jednak szkic wizerunku tej postaci dokładniej uwypuklić, trzeba wykorzystać niektóre szczegóły z Pamiętnika J. Łozińskiego *) i z autobiografji tej przytoczyć tu bodaj urywkowo to, co on sam w kwestji tego czasopisma opowiada:

„Od r. 1878 objąłem redakcję „Łowca“... Trud był ogromny i pozornie nie do zwalczenia... Rzecz sama praktycznie nie była mi obcą; w dobrej pod tym względem byłem szkole, śród wytrawnych myśliwych... Wspomnienia z tych czasów złożyłem w piśmie „Akwarele Franciszka Tepy“, które do tego pamiętnika mego, jako dodatek charakteryzujący, te chwile mego życia, załączam. **)

Uległem naleganiom i przyjąłem redakcję pisma, które mianem „Łowiec“ ochrzczono. Rozpisałem listy po całym kraju, zapraszając do współpracownictwa..... Wszelako zrazu spotkałem się tylko z niechęcią, niewiarą i oporem. Hr. Włodzimierz (Dzieduszycki) nierokował pismu długiego życia; hr. Kazimierz Wodzicki, na którego pomoc liczyłem, odmówił jej wprost, twierdząc, iż „nasi myśliwi skorzy zawsze do gawędy, ale nie do pióra, że w ustalenie się, a nawet zainicjowanie pisma nie wierzy“. Do pierwszych dwóch numerów, nie miałem prawie żadnego nadesłanego materjału i musiałem je wyłatać przedrukami, tłumaczeniami i własną pracą. Mozolnie zbierając szczegóły, rozsypane po różnych dziełach, obrobiłem dosyć obszernie, powabny dla myśliwych temat: „Puszcza Białowieska i Żubry“, który podobał się. Gdy spostrzeżono, że pismo o własnych siłach, żwawo poczyna się krzątać około ustalenia swego bytu — prysły lody obojętności, niechęci, niewiary i poczęto nadsyłać mi dosyć obfity materjał...

*) Szczegóły te zawdzięczamy uprzejmości syna autora, Dr. A. Łozińskiego.

**) Wydrukował „Łowiec“ w roczniku 1906. Dostarczył ich łaskawie również Dr. A. Ł.

Wyrobiłem sobie dzielnego później pomocnika, którego liczne prace umieszczone w „Łowcu“, pełne prawdy, humoru i staroszlacheckiej swady, wielce się podobały i stały się silną atrakcją dla Tow. łowieckiego. Pomocnikiem tym był Aleksander Ubysz... Był to człowiek z istotnym talentem pisarskim, obdarzony bystrym darem spostrzegawczym, rozległą fachową wiedzą i humorystycznym nastrojem... Ale zrazu w pracach tych brakowało formy: styl niewprawny, niepewny... Pozostawiwszy tylko treść rzeczy, obrabiałem je z gruntu tak, że forma nadana była moją, a tylko treść autora. Gdy później Ubysz wyrobił sobie styl i sposób pisania, mało już mojej potrzebował pomocy. Podobnych jemu utalentowanych pisarzy wyrobiło się przy „Łowcu“ kilku, jak Ludwik Weber, Kazimierz Remiszewski, Cyryl Kochanowski, Reichardt i inni, i to poczytuję sobie za zasługę, bom ich do tej pracy umiał zachęcić.

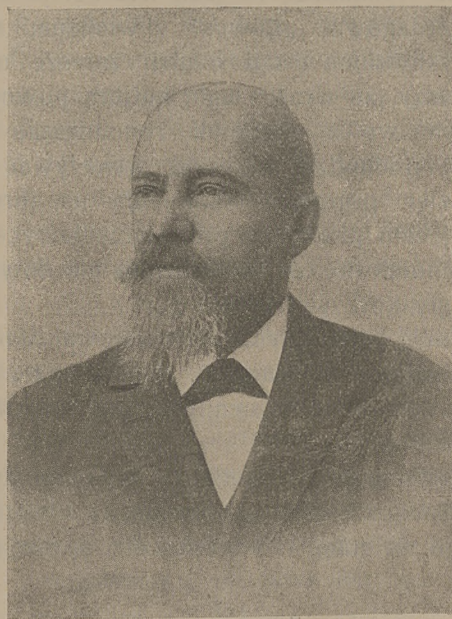
Pismo rozwijało się i zyskało wziętość i uznanie... Znajdują się w niem prace oryginalne Kraszewskiego, Małeckiego, Fredry, Sienkiewicza, Wład. Zawadzkiego. Najgorliwszymi współpracownikami pisma stali się hr. Kazimierz Wodzicki i Leopold hr. Starzeński... Nietylko Galicja, ale cała Polska była „Łowcem“ żywo zainteresowana i wiele z najdalszych nawet jej krańców otrzymywałem korespondencji, zapisków i prac obszerniejszych... Z powodu jednak coraz bardziej zanikającego słuchu, co w pracach redakcyjnych było mi tamą i przeszkodą, postanowiłem zrzec się obowiązków redaktorskich i w kwietniu 1888 r. złożyłem Redakcję „Łowca“ w ręce Wydziału. Dziesięć lat i trzy miesiące sprawowałem tę czynność, lekką pozornie, ale w istocie mozolną i kłopotliwą“.

Temi to skromnemi pociągnięciami pióra narysował pierwszy nasz redaktor własny swój portret.

Jak bolesną była dla „Łowca“ strata, spowodowana ustąpieniem Łozińskiego, dowodzi przytoczony tu w skrócie ustęp z artykułu poświęconego mu w kwietniowym numerze „Łowca“ 1888 r., napisanego z upoważnienia M. T. Ł. — przez jego członka Bronisława Komorowskiego: „Godząc się z przykrą koniecznością, wywiązuję się według sił z tego zaszczytnego zadania, nie mogę wszakże bez szczerego żalu myśleć o tej zmianie. Usuwa się od kierownictwa sympatycznym naszym „Łowcem“ mąż doświadczony i rzetelnie sprawie łowiectwa krajowego oddany, mąż, którego jedynie zabiegom, trudom i zamiłowaniu powiodło się stworzyć i na wysokości zadania utrzymać nasze czasopismo przez lat dziesiątek. Zasługi Jego są też powszechnie znane... Wiem, że trafię w myśl i uczucie czytelników „Łowca“, wyrażając tu Czcigodnemu p. J. Łozińskiemu zapewnienie, iż umiejętną pracę Jego na zawsze we wdzięcznej zachowamy pamięci“.

* * *

Bronisław Komorowski, który w kwietniu 1888 r. objął kierownictwo „Łowca“ był zawodowym dziennikarzem; długoletnim mianowicie współpracownikiem i zastępcą redaktora „Gazety Lwowskiej“. Jako utalentowany literat i poeta zasilał pięknemi utworami swego pióra liczne czasopisma perjodyczne. A że myśliwym był pasjonowanym i wytrawnym, *) na kierownika



BRONISŁAW KOMOROWSKI

więc łowieckiego pisma wszelkie posiadał warunki. Szkoda jeno, że po wydaniu jedynie kwietniowego numeru „Łowca 1888 r.. ulegając kategorycznemu żądaniu Redakcji Gazety Lwowskiej, musiał z „Łowca“ ustąpić, nie przestając atoli zasilać go nadal swojemi artykułami.

* * *

Nareszcie los szczęśliwy chciał, że lutnię po Bekwarku (Łozińskim), wziął Juljusz Starkel,



JULJUSZ STARKEL

znany zaszczytnie literat i publicysta — władający jednem z najlepszych piór w kraju, przytem sam myśliwy.

*) Długoletni prezes „Tow. myśl. im. św. Huberta we Lwowie“.

Redakcję „Łowca“ objął dnia 1. maja 1888 r., a zasługą jego przedewszystkiem było to, że przez cały ciąg dziewięcioletniej swej działalności, umiał pismo to utrzymać nietylko na wysokości, na jaką wzniósł je Łoziński, ale i to, że redagował „Łowca“ z wielkiem znawstwem rzeczy myśliwskich i sąd o nich zawsze miał trafny. Zrozumiawszy, że wraz z całą kulturą nowoczesną wyszło i łowiectwo z obsłonek romantyzmu — potrafił mu w tym pochodzie naprzód wskazywać horyzonty nowe, a więc potrzebę wstąpienia na tory trzeźwej, świadomej celu pracy, by prócz jedynie rycerskiej rozrywki, ekonomiczne zeń, w wyższym niż dotychczas stopniu płynęły korzyści.

W dziale beletrystycznym rozsiewał Starkel perełki, pełne sentymentu lub humoru, zawsze na tle łowieckiem. To też „Łowiec“ wiele cennych kart zawdzięcza temu znakomitemu pisarzowi.

Opuścił on nasz sztandar po wydaniu styczniowego numeru „Łowca“ 1897 z powodu, iż Wydział krajowy powołał go na stanowisko referenta spraw przemysłowych.

* * *

Chołoniewki Antoni i Kolbuszowski Edmund, którzy po Starklu nastąpili, zadebjutowali na arenie myśliwskiej w lutowym zeszycie „Łowca“ z r. 1897 następującą do czytelników przemową:



EDMUND KOLBUSZOWSKI

„Wzorowo prowadzić „Łowca“ jest dzisiaj rzeczą daleko trudniejszą, aniżeliby się to napozór mogło wydawać. Na każdym kroku bowiem ma się do walczenia z świetną, wprost imponującą tradycją tych czasów, gdy pismo to było w każdym calu europejskie. Zarozumiałością, a nawet zuchwalstwem ze strony naszej byłoby obiecywać wskrzeszenie czasów najświetniejszego rozkwitu tego pisma. Pragniemy jednak wzorować się na redakcji poprzedniej, pragniemy naśladować ją pod każdym względem...“

I przyznać trzeba, że zdolni ci publicyści — mimo, iż ich kąt patrzenia obejmował dziedzinę łowiectwa jedynie z teoretycznej strony, bo myśliwymi nie byli, a jeno „dziennikarzami z krwi i kości“ (słowa Chołoniewskiego), potrafili jednak redagować „Łowca“ — przy współpracy Spausty, Starzeńskiego, Tyszkiewicza, a pomocy Dr. Miziewicza — ku zadowoleniu czytelników.

Trwało to do końca roku 1900.

* * *

Po ustąpieniu tej sympatycznej spółki *) wyłoniła się sytuacja, wobec której siłą faktu ciężar redagowania „Łowca“ spadł bezpośrednio na Wydział. Podejmuje się wziąć ten ciężar na swe niestrudzone barki, najdzielniejszy z dzielnych, członek, a zarazem sekretarz Wydziału:

Dr. Stanisław Miziewicz, pod którego kierownictwem wychodził nasz organ począwszy od 1-go stycznia 1901 aż do końca czerwca 1904.



STANISŁAW MIZIEWICZ

Wielki intelekt, wysoka kultura, łatwość pióra, w połączeniu z energją i mrówczą pracowitością, oraz dusza myśliwca, złożyły się harmonijnie na całość postaci Miziewicza.

Jego rzutkość i obrotność budziły podziw. Jako radca Wydziału krajowego, zdołał on poza zawodową wytężającą pracą, obywatelskie też spełniać powinności. Idei łowiectwa poświęca działacz ten ofiarnie każdą wolniejszą chwilę i mnogą ilość nieprzespanych nocy, byle tylko „numer się nie spóźnił“, a co ważniejsza, że czyni to bezinteresownie.

Zresztą roczniki „Łowca“ z okresu 1901—1904 najwierniej odzwierciadlają indywidualność tego nieodżałowanego pracownika i redaktora.

---

*) Jako redaktor podpisywał „Łowca“ tylko Edmund Kolbuszowski.

Historyczną pracą Miziewicza jest „Dwudziestopięciolecie istnienia Łowca“, umieszczona w roczniku 1903.

* * *

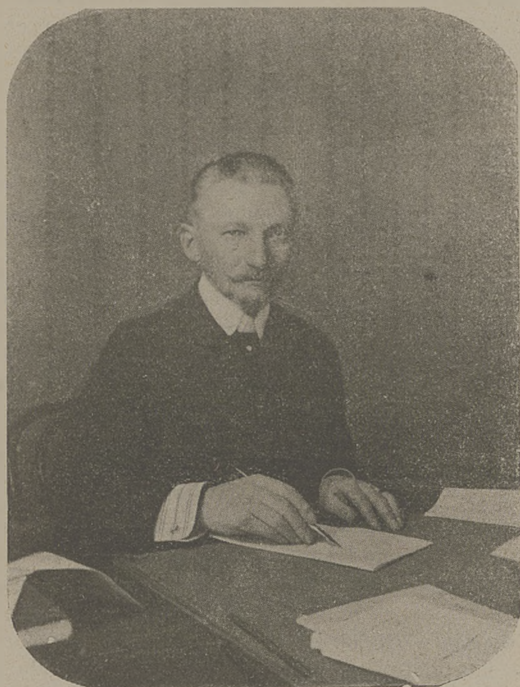
Po epitafjum na nagrobkach sześciu redaktorów wieczystym snem uśpionych, — chwila jubileuszowa domaga się naszkicowania także sylwetek dwu jeszcze pozostałych z tej plejady i orzących dotychczas piórem wdzięczną niwę łowiecką.

Zważywszy atoli, że pisać o żyjących trudniej — no i niebezpieczniej... ...niż o zmarłych — nigdy niereagujących, przynajmniej bezpośrednio... oraz zastanowiwszy się nad pytaniem: wypada czy nie wypada, uchodzi czy nieuchodzi?..., stanęło na tem, że najwłaściwiej będzie działalność ich pozostawić ocenie przyszłemu epikowi, który z odleglejszej perspektywy dokładnie całość rozpatrzy i bezstronny sąd o tem wyda.

Wobec więc tak postawionej kwestji, pozostaje tu do zaznaczenia w skrócie jedynie to, że ci dwaj „pracownicy w winnicy św. Huberta“, redagowali „Łowca“ naprzemian w porządku następującym:

Albert Bużenin Mniszek bezpośrednio po Miziewiczu, od lipca 1904 do września 1914, — zaczem bez przerwy z górą lat 10 (dziesięć), a następnie po powrocie z uchodźctwa, od maja 1921 redaguje go po dzień dzisiejszy.

Seweryn Krogulski był i redaktorem i wydawcą tego czasopisma — z konieczności dziejowej — od czasu inwazji rosyjskiej t. j. od września 1914 do 1. listopada 1918.



SEWERYN KROGULSKI

Od daty ostatniej, skutkiem walk bratobójczych w Małopolsce wschodniej oraz wojny z bolszewikami — „Łowiec“ aż do maja 1921 roku był unicestwiony.

— Dla ścisłości historycznej trzeba dodać, że tak Władysław Zontak jak i Ludwik Józefowicz, podpisujący „Łowca“, mianowicie pierwszy w początku redagowania go przez Łozińskiego, drugi zaś w całym okresie Miziewicza i częściowo Mniszka, spełniali tylko funkcje redaktorów odpowiedzialnych wobec władz cenzuralnych.

* * *

P. S. Po oddaniu już tego skryptu do drukarni nadeszła refleksja, że przecież, zanim inne pióro kiedyś sylwetki te uzupełni, lecz nie na dobie, godzi się już dziś tym, którzy prac r. Mniszka z czasu przeszłego nie znają, podać do wiadomości krótki Jego rysopis.

Oto niektóre daty — rozumie się nie dla tych, którzy Go znają — lecz dla przyszłego krytyka dziejów „Łowca“.

Przyszedł zasłużony nasz Redaktor na świat z odziedziczoną po ojcu pasją myśliwską. Polując namiętnie jako student na ojcowiznie, a później na własnej grzędzie w Makuniowie, poczem w najsławniejszych łowiskach ziem polskich — staje się myśliwym skończonym.

Obdarzony talentem pisarskim i poetyckim, zasila „Łowca“ od lat 40-tu, nasamprzód pięknemi sonetami i opisami łowów: wreszcie, gdy coraz szersze umysłem swoim obejmować począł kręgi zagadnień z dziedziny łowieckiej — redaktorskie zdobywa ostrogi.

Prócz mnóstwa artykułów wszelakiej treści — zawsze doskonałych — napisał też dwie monografje: Jeleń w Karpatach i Jarząbek.

Tyle tylko słów, w formie informacyjnej, wolno było podpisanemu, w szkicu tym poświęcić dzielnemu Koledze po piórze, pracy ideowej, no i po lufie...

Wykończenie rysunku tej postaci trzeba pozostawić pióru zupełnie bezstronnemu.



ALBERT MNISZEK

Wkońcu prośba! Jeżeliby komu przyszła ochota wziąć pod pręgierz pióra, autora tych sylwetek redaktorów, do których i on należał, to niech raczy łaskawie poczekać cierpliwie do chwili, kiedy to „łapiduch“ Charon, zechce go przewieźć swą sławną łodzią na nieznany żyjącym brzeg Styksu.

Ale niech się obaj z tą miłą przysługą bynajmniej nie śpieszą...

WITOŁD ZIEMBICKI

WŁADYSŁAW SPAUSTA

W 30-letnią rocznicę śmierci.

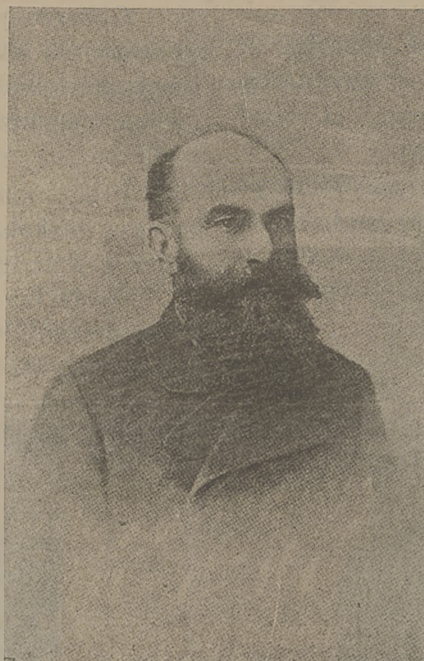
Jak już wspomniałem na innem miejscu[1]), Spausta należał do owej trójki „złotych piór“, które stworzyły w piśmiennictwie łowieckiem, każde w swoim rodzaju, arcydzieła, przedtem, ani potem niedoścignione. Dzięki Wodzickiemu, Ubyszowi i Spauście, także i nasz „Łowiec“ wzniósł się w pierwszych dwu dziesięcioleciach swego istnienia, odrazu do wysokiego poziomu. Kiedy Spausta zaczął publikować swe prace w „Łowcu“, ze szpalt jego wionął jakby nowy powiew. Jego monografje faunistyczne, oparte na głębszych studjach źródłowych, wprowadziły do czasopisma łowieckiego naukę, ale naukę przybraną w szaty literackie, naukę, przedstawioną barwnie i z polotem artystycznym. Bo Spausta był zarazem artysta. Malował i rzeźbił. Spuścizna jego: to prócz utworów literackich, bodaj czy nie setki rysunków, malowideł i rzeźb. Nie były to dzieła wielkiej sztuki, ale świadczyły o wrodzonym talencie i charakteryzowały człowieka.

Literacka działalność Spausty przypada na okres od r. 1889 do r. 1898, t. j. do roku jego śmierci. Od czasu więc, kiery pióro jego spoczęło na zawsze, mija w bieżącym roku lat 30. A że w roku tym mija zarazem 50 lat istnienia „Łowca“ i że przy takiej sposobności powinniśmy spojrzeć wstecz i przypomnieć sobie ludzi zasłużonych, przeto dla tej podwójnej okazji godzi się poświęcić wspomnienie śp. Władysławowi Spauście, jego skromnemu, a pracowitemu życiu i jego przepięknym pismom.

Życiorys Spausty podały po jego śmierci dwie bratnie redakcje: redakcja „Łowca“ i redakcja „Sylwana“ — czasopism, przez niego stale zasilanych[2]). Nie były to suche nekrologi. Przebija z nich niezmierny żal po niepospolitym człowieku, towarzyszu, przyjacielu, a zarazem świadomość straty wprost niepowetowanej dla piśmiennictwa łowieckiego i leśniczego.

„W cichym, oddalonym zakątku, — pisze Strzelecki — wśród tej pięknej przyrody, którą tak ukochał, pośród której chciał odpocząć po walkach i znojach długoletniej pracy, wśród której spodziewał się przeżyć jeszcze lat szereg długi, — w tem ustroniu górskiem, które sobie wybrał, aby w niem, jak sam mówił, „znaleść schronisko na stare lata“, zamiast wytchnienia znalazł męczarnie, zamiast spoczynku walkę i to walkę tem okropniejszą bo beznadziejną, tem zaciętszą, bo w niej szło o to, co człowiekowi najdroższe — o życie, tem sroższą, bo z wrogiem co nie zna litości... Walczył długich, nieskończenie długich ośm miesięcy, wiedząc, że w walce tej uledz musi; choroba nieuleczalna — rak — trawiła organizm jego powolnie lecz stale, folgując na chwilę, aby wnet znów z zdwojoną wystąpić siłą. Męczył się niewypowiedzianie, wreszcie śmierć litościwa skończyła te męki i zabrała go z tego świata“.

Ur. 1847 † 1898



Władysław Spausta urodził się 1847 r. w Samborze, gdzie ojciec jego był cenionym powszechnie lekarzem. Ukończywszy gimnazjum we Lwowie wstąpił do wyższej Szkoły rolniczej w Dublanach, którą opuścił zdawszy egzamin z wyszczególnieniem. Syn przyrodnika, przyrodę ukochał nadewszystko i jej poświęcił całe swe życie. W r. 1869 objął zarząd dóbr Wysocko i Józkowice (własność śp. Oktawa Sali), a równocześnie był kierownikiem gospodarki w dobrach p. Władysława Gniewosza. Od r. 1873 począwszy zarządzał dobrami komarniańskiemi hr. Lanckorońskiego, których cząstkę, wieś Koszarki położoną nad Dniestrem, wziął w dzierżawę w r. 1888. Trzy lata przed śmiercią przeniósł się w samborskie, gdzie nabył majątek Kotowanię.

„Dom jego — pisze „Łowiec“ — był prawdziwym gabinetem uczonego. Na ścianach i podłogach widziałeś porozwieszane skóry najrozmaitszych zwierząt; tu wpadały ci w oko łby powypychane, tam bogata kolekcja parostków, tu zbiór minerałów, tam zbiór owadów, tu zielnik, tam zbiór różnobarwnych, mieniących się tęczowemi barwami motyli, tu rozpoczęta akwarela przedstawiająca wnętrze lasu, tam zaczęta rzeźba: piękny łeb dzika lub wieniec jelenia. Mimo pewnego nieładu wszystko tchnęło artystycznym smakiem“.

Za „Łowcem“ też powtórzymy charakterystykę jego twórczości literackiej:

„Któż z czytelników naszych nie zachwycał się artykułami śp. Władysława, pisanymi z erudycją uczonego, dla którego wszystkie księgi mądrości stoją otworem, a mimo tego pełnymi zawsze humoru, owianymi polotem poezji szczerej, poezji wzniosłej, bo czerpanej wprost u źródła przyrody. Nasze knieje i bory, łowiectwo nasze nie miało lepszego znawcy; gdy się czytało jego artykuły, zdawało się, że badał on wszystko, że pozyskał jakiś tajemniczy kamień, czy zioło, które mu opowiedziało o tajemnicach naszych zwierząt.

„Erudycja w jego pracach była imponująca. Nie było dziedziny wiedzy, którejby śp. Władysław w artykule swym nie poruszył, nic mu nie było obcem, wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych znał na wylot, a chyba nie było i nie ma wśród naszych pisarzy łowieckich nikogo, ktoby znał tak dokładnie literaturę łowiecką wszystkich krajów, jak śp. Władysław.

[1]) W. Ziembicki. Aleksander Ubysz. „Łowiec“ 1928. Nr. 20, str. 312.

[2]) „Łowiec“ 1898., numer październikowy, str. 147 (redaktorem był wówczas Edmund Kolbuszowski). „Sylwan“ 1898. str. 355 (Nekrolog, napisany przez Adolfa Strzeleckiego).

„Mimo to, iż w każdym artykule Spausty poruszonych było wiele rozmaitych rzeczy, że każdy był oparty na badaniach ściśle naukowych i na gruntownej znajomości przyrody, nie były one swą uczonością zawiłe, ogromem nagromadzonego materjału ciężkie, lecz czytało się je jak jaką powieść najciekawszą, bo przeplatane były humorem i opisami scen komicznych. Prawdziwym poetą był zmarły w opisie lasu i jego życia. Zdawało się, iż rozumiał on rozgowór dębów, że buki szeptały mu swe tajemnice, brzoza opowiadała swe bole, a sosna zdradzała mu tajemnicc płochliwych saren lub rączych szaraków. Z rozgoworów dębów, setki lat pamiętających, zdawało się, że spisywał dzieje dawnych wieków, dzieje, które tak świetnie opisał w swej pracy: „Z łowieckiej przeszłości“ (Rys historyczny zwierząt łownych, będących na wymarciu. tur, żubr, koń dziki, suhak, soból, rosomak, bóbr). Praca ta, to prawdziwa kopalnia nieznanych szczegółów dla historyka przyrody“.

W r. 1903, kiedy redakcja „Łowca“ drukowała dłuższe wspomnienia retrospektywne „W 25-letnią rocznicę“ założenia „Łowca“, znowu entuzjastyczne słowa poświęcono twórczości niezapomnianego współpracownika [3]):

Dla uzupełnienia życiorysu dodać należy następujące szczegóły [4]):

Władysław Spausta był synem dra Damiana Spausty i jego żony Wiktorji. Umarł bezdzietnie.[5]) Osierocił żonę z Dobrowolskich i siostrę Walerję, zamężną za Leopoldem Wiktorem Spaustą, radcą sądu wyższego. Brat Władysława, Bolesław, również literat i znany krytyk, umarł kilka lat przedtem. Pamiątki po śp. Władysławie w postaci rzeźb i obrazów przechowały się dotąd, w czasie wojny znajdowały się bowiem we Lwowie. Natomiast bibljoteka, umieszczona na wsi, została zniszczona przez kozaków.

Ze sprawą bibljoteki łączy się inne zagadnienie. Spausta pozostawił rozmaite materjały literackie w rękopisach niedrukowanych. Przytoczony powyżej nekrolog zaopatrzyła redakcja „Łowca“ takim przypisem:

„W tece redakcyjnej mamy jeszcze kilka jego prac. Jedną z nich pod tyt. „Tychon“ zamieszczamy poniżej. Oprócz tego zostawił śp. Spausta drugi tom, przygotowany do druku, dzieła swego „Na tropach“. Poczyniliśmy już kroki, aby od rodziny dzieło to dostać i zamieścić je w łamach „Łowca“.

Na posiedzeniu zaś Wydziału Towarzystwa Łowieckiego, dnia 24 września 1898 [6]), po przemówieniu wiceprezesa p. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego, poświęconem pamięci Spausty, uchwalono na wniosek p. Stanisława Miziewicza wejść w porozumienie z rodziną śp. autora w sprawie pozostałych po nim prac dalszych, notatek i bibljoteki. Do traktowania upoważniono członka wydziału, p. Hirscha. Ale istnieje jeszcze bliższa wskazówka, jakie to były materjały rękopiśmienne: Mówi nam o tem sam Spausta, w liście do wydawcy jego książki „Na tropach“ [7]). List ten posiadam w swym zbiorze i jako ze wszech miar charakterystyczny, przytaczam w całości:

„Koszarki, p. Komarno 28/VIII. 1896.

Wielmożny Panie!

Nie mając sposobności zniesienia się osobiście z WPanem, mam zaszczyt niniejszem prosić o informacje co do sprzedaży wydanego dzieła „Na tropach“. Słyszałem, że cenzura rosyjska czyniła trudności z przepuszczeniem tej książki w granice Rosji, jeżeli tak jest w istocie, możeby dało się zrobić coś dla usunięcia trudności zresztą niczem nieusprawiedliwionych? Wielu z ludzi prywatnych, a zajmujących wysokie stanowiska, oświadczyło się z gotowością sprzedaży tej książki, czyliby nie należało tu użyć tego u nas jeszcze najskuteczniejszego środka i kolporterstwa dobrowolnego obywatelskiego do ostatecznej rozsprzedaży dzieła, jeżeli to jest potrzebne?

Wybaczy WPan, że wobec wspólności celu może się niepotrzebnie narzucam z mymi projektami, wszak WPan jako wydawca lepiej musisz być poinformowany co czynić należy, gdy niespodziewany wyrok cenzury zmylił kombinację.

To co czytałem i słyszałem o „Na tropach“ udowadnia mi, że książka ta najlepiej przyjętą została przez publikę, a zachęcony przez naszych najznakomitszych znawców przedmiotu i przez prasę nie ustałem w pracy i posiadam już znakomitą paczkę nowych nigdzie jeszcze nie drukowanych manuskryptów, których chować nie myślę. Są to również, skromnie nazwawszy, „Obrazki przyrodniczo-łowieckie“ nadające się albo do wydawnictwa zbiorowego w tomie sporym, albo w broszurkach zamykających w sobie jeden tylko przedmiot, inne podobne prace moje ogłosił już drukiem „Łowiec“ po wydaniu książki „Na tropach“, a i te również mogłyby znaleść pomieszczenie w nowem wydawnictwie. Gdyby WPan zechciał się podjąć dalszego wydawnictwa prac moich, upraszam o łaskawą w tym kierunku wiadomość, a mianowicie kiedy? i pod jakiemi warunkami by to nastąpić mogło? Z mej strony oświadczam gotowość przeprowadzenia osobiście korekty, gdyby to było koniecznem, niemniej mógłbym dostarczyć odpowiedniej winiety ozdobnej. Ewentualnie stawiam do dyspozycji WPana me rękopisy dotąd jeszcze drukiem niepublikowane.

Polecając się łaskawej pamięci, pozostaję z prawdziwym szacunkiem

sługa

Wład. Spausta“.

Cóż się tedy stało z niedrukowanymi rękopisami Spausty? Wiadomo, że po artykułach. które w chwili śmierci jego znajdowały się w tece radakcyjnej „Łowca“, nic więcej w druku się już nie pojawiło. Czy Towarzystwo Łowieckie nie umiało się wziąść należycie do pozyskania cennej spuścizny, czy też napotkało na jakieś nieprzezwyciężone trudności, nie wiemy. Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, która wydała „Na tropach“, nie podjęła widocznie druku następnego tomu, bo na liście Spausty widnieje lakoniczny dopisek księgarza: „Odpowiedziano dnia 12 września 1896, że w Warszawie zakazane, a dotychczas 60 egzemplarzy sprzedano“. Książka najwidoczniej nie szła...

Nasuwało się więc pytanie, czy rękopisy pozostały nadal w rękach rodziny, a w takim razie, czy w czasie wojny zostały zniszczone wraz z bibljoteką, czy też na innem jakiemś miejscu ocalały. Dla zbadania tej sprawy zwróciłem się do siostrzenicy śp. autora, pni Weigel-Milleret, która po dłuższych poszukiwaniach nadesłała odpowiedź następującą (dn. 24 kwietnia 1928):

„Od pasierba [8]) wuja mego, śp. Władysława Spausty, otrzymałam wiadomości, z których wynika, że rękopisu do drugiego

---

[3]) „Łowiec 1903., str. 279.

[4]) Szczegóły te zawdzięczam jedynej żyjącej siostrzenicy śp. Władysława Spausty, mianowicie pani Marji ze Spaustów Weigel-Milleretowej, córce Walerji ze Spaustów i Leopolda Wiktora Spausty (małżeństwo to było stryjecznem rodzeństwem).

[5]) Dnia 1. września 1898. Pochowany na miejscowym cmentarzu w Kotowani.

[6]) „Łowiec“ 1898., str. 159.

[7]) Księgarnia wydawnicza Gubrynowicz i Schmidt.

[8]) P. Batukiewicza.

tomu „Na tropach“ wogóle nie było, został jedynie manuskrypt niedokończony, przekreślany, poprawiany, poprostu w brulionie, pod tytułem: Nomenklatura i topografia tura i żubra — który miał śp. wuj, będąc już chorym, zamknąć do biurka swego. O ile sobie przypominam, ojciec mój po śmierci wuja, kiedy z innymi rzeczami i to biurko przyszło do Żornisk,[9]) używał go, ale czy manuskrypt spoczywał w biurku, tego nie wiem. Biurko to w r. 1914 wywieźli Moskale. Zdaje się więc, że i ta pamiątka, jak tyle innych, przepadła bezpowrotnie...“

Wspomniany tu „bruljon“ nie mógł być oczywiście tym zbiorem prac, o jakich sam Spausta wspomina w liście do wydawcy. Z tego by wynikało, że główny zbiór rękopisów Spausty w ręku rodziny nie pozostał, ale powędrował po jego śmierci w jakieś inne ręce. Gdyby to przypuszczenie było słuszne, to istniałaby jeszcze, choć niewielka, nadzieja, że niewyzyskana spuścizna jego może przecież kiedyś się odnajdzie.

„Na tropach“ — cykl „obrazków przyrodniczo-łowieckich“ jest arcydziełem, nie posiadającem sobie równego w piśmiennictwie polskiem. Ale rzecz szczególna i znamienna: książka, która warta była przekładów na obce języki i która powinna się była doczekać wielu wydań — nietylko, że „nie szła“ bezpośrednio po pojawieniu się, ale dotychczas, wstyd to przyznać, spoczywa jako reszta pierwszego i jedynego nakładu na półkach księgarskich u wydawcy. Lat 32! A przecież śmiało można powiedzieć, że zawarte w niej takie monografje, jak o łosiu, bobrze, rosomaku, świstaku, żubrze — nietylko nic nie straciły, ale chyba tylko zyskały dziś właśnie na wartości i aktualności. Kto nie czytał tych rzeczy, nawet nie wie, co za perły posiadamy w swej literaturze łowiecko-przyrodniczej. Miłośnik przyrody, czytelnik odrodzonej Polski, czytelnik tych dzielnic, do których książce Spausty wzbraniano dostępu, ma możność dziś sobie ówczesny brak wynagrodzić.

Dziwiło to Spaustę, że cenzura nie dopuściła jego książki w granice zaboru rosyjskiego. Nie doceniał wartości swego własnego dzieła. Wystarczy przejrzeć choćby sam wstęp, aby się przekonać, że „Na tropach“ pisał nietylko przyrodnik i myśliwy, ale przedewszystkiem wielki patrjota. Kreśląc „historję niektórych zwierząt łownych naszej dawnej wielkiej ojczyzny“, roztaczał przed naszemi oczyma zarazem dzieje tej ojczyzny. Barwnym językiem wskrzeszał legendy przedhistoryczne „o pięknej i bohaterskiej treści łowieckiej“ i obrazy historyczne, w których „nasi króle i wielcy książęta, niby homeryczni bohaterowie, w kożuchach baranich lub kołpakach sobolich z bogatym orszakiem swych drużyn rycerskich, przesuwają się po ciemnych puszczach i niedostępnych kniejach“. Opisując rozmieszczenie dzikich zwierząt, przywracał Polsce dawne granice, sięgał w najdalsze jej kresy w pogoni za łosiem, sobolem, łabędziem, suhakiem. Budził zadumę i tęsknotę... Gorący styl jego popędzał krew w żyłach, rozgrzewał myśli, rozpalał fantazję, wywoływał zjawy przeszłości i nadzieje przyszłości. Wszystkiemu umiał nadać treść głębszą: Nawet piórom ptasim jakże pięknie umiał przypomnieć ich prastarą rolę w naszym rycerskim stroju! Przeczytajmy n. p. końcowy ustęp pracy o żórawiu, ostatniej, jaką ujrzał w druku za życia:[10])

„Inne pióra, a szczególnie wielkie pióra lotek używane były w stanie naturalnym. „Usarze i Towarzysze siedzący na koniu straszną postać mają dla piór bocianich, żórawich, indyczych i innego ptactwa, które na ich głowach sterczą“. (Paprocki, o sprawie rycerskiej pol. Tom II. 269). Takiego to wojownika przedstawił Mrgr. Bethune Ludwikowi XIV. Był to husarz polski w całym rynsztunku, jako największa ówczesnej sztuki wojennej znamienitość. „Od bark tych centaurów Marsa wznosiły się sępie, bocianie, żórawie, lub orle skrzydła w srebro oprawne, które chrzęstem już nietylko konie, ale samych wrogów przerażały“ (Czapski. Hist. konia. Tom II. 438), a oprócz tego „Ussarowie na głowę tak swoją jak i końską kładą pióra“, mówi Starowolski, opisując w 1628 r. rycerstwo polskie papieżowi Urbanowi VIII.

Te łupieże dzikich zwierząt, przewieszone fantastycznie przez barki, te lasy pionowo sterczących piór, nadawały naszym chorągwiom jakiś oryginalny, nigdzie już podówczas w Europie niespotykany widok, bali się tych falang skrzydlatych barbarzyńcy na wschodzie, podziwiali je najsłynniejsi wojownicy północy i zachodu. A cóż dopiero, gdy buława w obnażonej prawicy dała hasło natarcia? W imię Boże i świętej Jego Rodzicy przejeżdżały falangi po karkach wrogów, szumiały lasy piór, szyły powietrze lasy w pół ucha końskiego złożonych kopij, usuwając wszystko z swej drogi i kończąc z chwałą ostatni akt krwawego dramatu.

Nie na pieczystem i na piórach kończył się historyczny użytek z żórawia, bo nawet pewne części jego szkieletu posiadały wartość użytkową dla myśliwego, wartość, która według wiary dawnej nie tak łatwo czem innem zastąpić się dała. „Na przepiórki“, zwierza się ptasznik XVI. wieku, „masz mieć piszczałeczkę łabędzią albo żórawią, albo sarnią, a od niewoley z starej gęsi dobra“. Ale czyż tylko w łowach na przepiórki rozpoznał stary myśliwy stopień dobroci użytego na wabiki materjału? W łowach również i innego ptactwa, w których tak ważną rolę grały wabiki, kukiewki i piszczałki rozmaitej konstrukcji, których tajemnice wyrobu posiadał jedynie myśliwy, kość z lotek żórawia przy zastosowaniu pewnych akustycznych prawideł miała pewne specjalne, jakkolwiek urojone znaczenie.

Ale mnie tak dobrze w tej krainie zupełnie dla nas już obcych wyobrażeń, pojęć i zwyczajów, że zapomniawszy o wszystkiem, a głównie o cierpliwości łaskawego czytelnika, nakreśliłem już tak sporą paczkę o rzeczy tak nieaktualnej, że aż mnie strach zbiera na myśl, że może przecież przekroczyłem termina rerum, i może zanadto liczyłem na doświadczoną już pobłażliwość czytelnika. Biali krucy, a są nimi autorowie naszych myśliwskich podręczników, wcale nie zaliczają żórawia do zwierzyny łownej, no i słusznie, bo na cóżby się nam przydała tyle mozołu kosztująca zdobycz? Pieczyste z pewnością jużby nie znalazło amatora, siwe i skromnego wyglądu barkówki zgubiły się wśród jaskrawych klejnotów tropikalnego świata ptasiego, używanych po dziś dzień przez płeć piękną, zabrakło już husarzy do czarnych lotek, ba nawet do pisania już nam takich artykułów nie potrzeba w wieku stali i glinu, a komu jeszcze niezbędnym wabik czy kukiewka, to znajdzie je gotowe i dostrojone do wyboru, byle ich tylko użyć potrafił. Więc cóż? oto żóraw z swem pieczystem, swem piórem i kością przeszedł do archiwów przeszłości, a jeżeli pozwoliłem sobie przerzucić te karty zapylone, to przecież zasłużył sobie na skromne wspomnienie „czujny żóraw“, herold wiośnianych nadziei, a niegdyś przedmiot wspaniałych łowów, zaliczany na równi z dropiem, łabędziem, czaplą i głuszcem do wielkiego myślistwa“.

Rola Spausty, jako myśliwego, nie ograniczała się do polowania i publicystyki. Był to niepospolity badacz i hodowca. Ciekawych odsyłam do sprawozdań z Wystawy Krajowej we Lwowie w r. 1894. Spausta

[9]) Żorniska p. Domażyr pod Lwowem posiadłość pp. Weigel-Milleretów.

[10]) „Łowiec“ 1898., str. 135.

był referentem działu łowieckiego i duszą pawilonu „łowieckiego“. „A jeżeli dział ten budził podziw swoich i obcych — pisał Strzelecki — jego to była zasługa[11]). Taki podziw budziły n. p. jego kolekcje rozwoju parostków, z przekrojami, okazującemi ich budowę: niezmiernie oryginalna kolekcja pomiotów zwierzęcych; dalej szkód leśnych, od zwierząt dzikich pochodzących; chorób zwierzęcych w pouczających preparatach (n. p. motylicy sarn) gniazd i jaj ptasich, i t. d., i t. d.[12]). Spausta dał inicjatywę do zorganizowania działu kłusownictwa, myślistwa ludowego. dzikiego rybołóstwa i t. d.[13]).

Spausta przedstawiał więc idealny typ człowieka, oddanego swemu umiłowanemu zawodowi w najszerszem słowa znaczeniu. Był myśliwym. był hodowcą, był przyrodnikiem o gruntowem wykształceniu, był pisarzem, posiadającym wyjątkową erudycję i znajomość źródeł w zakresie literatury tak naszej, jak obcej, był wreszcie artystą z Bożej łaski i w wolnych chwilach malował i rzeźbił — cóżby innego, jak to, co miało związek z jego światem: polską przyrodą.

Szczerą tedy prawdę napisano po jego śmierci[14]), że luka po tym „potentacie“ pióra nie da się łatwo zastąpić. Bo aby osiągnąć te rezultaty w piśmiennictwie trzeba było mieć Spausty wrodzone warunki i Spausty wszechstronne przygotowanie.

Zestawienie prac Spausty.

I. Prace, drukowane w „Łowcu“.

Rok 1888.

Dzik (studjum) 65—68, 81—84, 97—100, 113—116.

Z naszych światów, 129—132.

Oryginały kniei, 179—183.

Rok 1890.

Słonka (studjum), 6—9, 12—21, 36—40.

Kangur jako zwierz łowny w Europie, 74—77.

Wędrówki naszych ptaków, 81—84, 105—108, 118—121, 129—133, 152—155, 161—164.

Rok 1891.

Nasze kaczki dzikie, studjum przyrodniczo-łowieckie, 2—4, 24—25, 38—41, 55—58, 71—74, 86—90.

Uwaga: do tej pracy nawiązują swe spostrzeżenia: Seweryn Kisielewski, Ł. 1891. s. 158. i Leopold Łysakowski, Ł. 1891. s. 173.

Z biografji kaczki (koresp.), 125, 126.

Parostki kozłów, studjum przyrodniczo-łowieckie, 135—138, 145—149, 161—164, 179—182

Rok 1892.

Z łowieckiej przeszłości, 2—4, 17—21, 33—37, 49—55. 65—69, 81—86, 97—100, 113—116, 129—133, 145—150, 161—165, 177—179.

W norze czy na dworze, 62—63.

Rok 1893.

Z zatargów rodzinnych i ekonomji łowieckiej, 17—21, 33—37, 49—53, 65—69, 85—89, 102—105, 119—122, 129—133, 145—150, 161—165, 177—181.

Piją czy nie piją (koresp.), 141—143.

Rok 1894.

Wśród zatopu, 2—4, 17—20.

Łowy Pana Marka, 5—9, 20—25.

Z krainy lotów, 33—37, 49—52, 65—70.

Jubilat, 83—90.

Morituri, 113—118. (Wiadomość o łosiu w dziejach. — Łoś w historji łowiectwa polskiego. — Przyczyny zatraty. — Zwierzostany łosia na ziemiach naszych w chwili obecnej. — Łoś w Rosyi — w Niemczech — na półwyspie Skandynawskim. — Orignal amerykański.)

Niedobitki, 145—150. (Ryś w dziejach łowiectwa polskiego. — Zdania dawnych autorów co do jego przyrody. — Rzekome odmiany rysia. — Stan obecny tego zwierza. — Dawne wspomnienia.)

Uratowani, 177—182. (Niedola na dołach. — Byle wyżej. Świstak w śnie zimowym. — Dawne o nim przesądy. — Bobak. — Tępienie świstaków. — Ustawy. — Przebudzenie.)

Rok 1895.

Zakonnik leśny, 3—5, 17—21.

Kulon i Kulig (koresp.) 11—12 (Tatarynów 27 grudnia 1894).

Uwaga: Jest to odpowiedź na uwagi zawarte w korespondencji p. K. J. z Glinian, „Łowiec“ 1894, str. 190, a dotyczące pracy Spausty „Z krainy lotów“. Na to p. K. J. odpowiada w korespondencji z Glinian w lutym 1895 p. t. „Sprostowanie“, Łowiec 1895. str. 45. Przy tej sposobności nazywa p. K. J. artykuły Spausty „great attraction“ Łowca.

Typy parostków, 49—53.

Dawni wróżbici, 65—71.

Kobczyk w podróży (koresp.) 78—79.

Kynegetika, 129—134, 145—150, 161—166, 177—182.

Z sarnich zalotów (koresp.) 140—141.

Rok 1896.

Niedźwiedź, 49—52, 65—70, 86—90, 97—101, 113—116.

Tortury języka myśliwskiego (koresp.) 110—111.

Cietrzew, 129—135, 145—149, 161—163, 178—180.

„Der Schuss“, recenzja, 157—158 (Der Schuss. Erklärung aller den Schusserfolg beeinflüssenden Umstände und Zufälligkeiten, von Friedrich Brandeis mit 45 Abb. und vielen Tabellen Wien, Pest. Leipzig A. Hartlebens Verlag, 1896, str. 280).

[11]) Sylwan 1898., j. w.

[12]) Zob. Wydawnictwo Powszechnej Wystawy krajowej, 1894. „Łowiectwo“ str. 20., jakoteż nekrolog „Łowiec“ 1898. (j. w.)

[13]) Zob. Juljusz Starkel: Łowiectwo na Pow. Wyst. kraj. „Łowiec“ 1894., str. 83, 97, 98.

[14]) „Łowiec“ 1903, str. 2 80.

Rok 1897.

Co nieco o psach, 3—6.
Jeleń olbrzymi, 50—54.
Jeleń, 65—69, 82—87, 102—105, 121—125, 137—142.
Lipcowa noc, 177—179.

Rok 1898.

Przykre konieczności, 1—3.
Ciągłe zawody, 17—20.
Jeszcze o kuropatwach, 49—52.
Żóraw, 103—105, 116—117, 132—135.
Tychon, 148—152.
Niby drobnostki, 162—163, 185—187.

II. Wydanie książkowe.

Na tropach. Obrazki przyrodniczo-łowieckie. Tur i żubr — Koń dziki — Suhak[15]) — Sobol — Rosomak — Bóbr — Łoś — Ryś — Świstak — Dzik — Łabędź — Głuszec. — Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1896. Z drukarni i litografji Pillera i Spółki. Str. 325 i spis rzeczy. Wym. $21^1/_3$ x 14. Okładka oryg.: Rysował Michał Sozański

III. Prace, drukowane w „Sylwanie“.

O stoczku rosistym. 1893. 298, 387.
Cis. 1893. 415, 463, 503, 543.
Pioruny w lasach. 1894. 369.
Różowe myśli. 1894. 97, 145, 193, 257.
Prastara nowość. 1894, 1, 49.
O wzajemnym stosunku lasu i łowiectwa. 1895. 1, 41.
Stroczek w lesie. 1895. 180.
Jemioła. 1895. 268.
Z borów Worochty. 1895. 361.

Recenzja: Sempołowski, Wyniki prac i dośw. wykonanych 1893—1894 przez stację dośw. w Sobieszynie. 1895, 108.

Recenzja: Rocznik krajowej wyższej szkoły rolniczej w Dublanach (Rok 1894). 1895. 238.

Recenzja: Sniegocki. Hodowla roślin i nasion przemysłowych. 1895. 239.

Limba. 1896. 71, 108, 129, 161.
Jeszcze o stroczku. 1896. 270. 394.
Znowu o stroczku. 1897. 138.
Trufla. 1897. 161, 201.
Grzyby wobec projektów ustawowych. 1898. 24, 33.
Zagraniczni goście. 1898. 73.
Suum cuique. 1898. 105.
Powikłana sprawa. 1898. 161.

Uwaga. Niektóre z prac, drukowanych w „Sylwanie“, pojawiły się także w osobnych odbitkach.

* * *

Zakończmy to krótkie wspomnienie słowami Adolfa Strzeleckiego: [16])

„Miłość przyrody nie objawiała się u Spausty samym tylko bezpłodnym zachwytem, samym tylko barwnym opisem tego co widział. On pragnął przeniknąć wszelkie tajniki życia, na które patrzył, zbadać i poznać wszelkie przyczyny i skutki zjawisk, wszelkie ich objawy i szczegóły. Pracował też niestrudzenie, czytał niezmiernie wiele, myślał nad wszystkiem i badał wszystko i tą pracą ciągłą i żmudną zdobył erudycję rzadką, zasób wiedzy fenomenalny. Wiedza i nauka nie były dlań celem same w sobie. On uczył się i pracował, aby wszystko co zdobędzie oddać w usługi krajowi swemu i społeczeństwu, — aby zdobycze swej myśli zużytkować dla dobra wszystkich i tem przyczynić się do podniesienia naszego leśnictwa i łowiectwa“.

---

[15]) Zob.: „Sajka Suhak“ według Spausty w „Lovecky Obzor“ 1911, Nr, 1. (Cytuje Łowiec Polski. 1911. str. 58.)

[16]) „Sylwan“, nekrolog (j. w.)



GAWĘDA O NIEDŹWIEDZIU

Wyjątek z „Księgi Przyrody w poezjach Mickiewicza“

w opracowaniu **Józefa Rostafińskiego*)**

I. On.

My — ludzie ucywilizowani — przypisujemy nieraz zwierzętom zrozumienie naszych uczuć, przechodzące możność takiego ich myślenia, odwrotnie człowiek pierwotny w przedhistorycznych czasach przypisywał zwierzętom większy rozum, niż go posiadają, a zarazem większą potęgę, przed którą się korzył.

W Europie przedhistorycznej tury i żubry były najpotężniejszemi zwierzętami, na które wszystkie inne nie śmiały napadać. Zwierzęta te nie wchodziły człowiekowi w drogę, nie zaczepiały go. Pojedyńcze osobniki łapał w doły i karmił się ich mięsem. Co innego niedźwiedź. Ten, — trzeci co do wielkości zwierz eurazjatycki — raczył się niedojrzałem zbożem, zwłaszcza owsem, bobrował po borach wyjadając siedlakowi barcie, szukał ich i w wągrodzie [1]), gdzie w razie głodu napadał i na bydło domowe, (jak było w Tatrach jeszcze w XIX w.) był więc wielkim szkodnikiem. Walka z nim była trudna ze względu na jego siłę i odwagę, na zapamiętałość z jaką napastował, na niemożność schronienia się za pniem, jak to bywało w zmaganiu się z turem lub z żubrem.

Z tych to powodów niedźwiedź nietylko w Europie, ale wszędzie gdzie żyje, budził strach i odbierał cześć pierwotnego człowieka. Dlatego był „tabu“ u amerykańskich Indjan. Dlatego odbiera on cześć do dziś dnia u ludów wschodniej Syberji, jak u Ainów, Giliaków, Ostajaków. Cześć greckiej bogini Artemis jest w związku z niedźwiedziem i w związku z kultem do dziś dnia trwające pielęgnowanie niedźwiedzia przez miasto Bern, starorzymskiej Verony.

Szczątkowym śladem uroczystości połączonych z kultem jest zapewne przebieranie się człowieka za niedźwiedzia i chodzenie tak przebranego w pochodzie. Zwyczaj ten zachował się dość powszechnie u Łużyczan i u nas w czasie ostatków, śródpościu lub podczas godów [2]).

Ta cześć niedźwiedzia była tak powszechna i głęboka w Europie, że nie śmiano go nazywać po imieniu. Dlatego nie zachował się wspólny szereg nazw indoeuropejskich tego zwierzęcia. Germańskie ludy nazywają go brunatnym, Szwedzi dziadkiem, Finowie jabłkiem lasu, Estowie szeroką nogą, Słowianie mówili o nim meciku (co może znaczy ryczący). My polacy przezwaliśmy go miodojadem (miedźwiedź), a górale do dziś dnia zachowali najwyraźniej ów charakter poszanowania i obawy przed tą bestją, nie wymawiając wcale jej imienia, tylko mówiąc o niej „On“.

Z chrześcijaństwem zachowuje się to pojęcie uważania zwierzęcia za istotę równą człowiekowi tylko nie mówiącą, w tem, że zarzucając dawne jego nazwy przezywają go imionami świętych. Ztąd też niedźwiedź staje się bądź Marcinem (u Serbów), bądź Misiem (Michałem) u nas, bądź Marją (Marucha) u Rosjan.

Ztąd w Panu Tadeuszu czytamy (IV. 736): „Ja też na oko, postójże Marucha“ [3]).

Różne części ciała czczonego zwierzęcia mogą mieć naturalne magiczne własności, nic więc dziwnego że mają rzekomo i niedźwiedzie pazury. Do dziś dnia w Rosji niedźwiedzim pazurom i zębom przypisują utajone władze. Wyobrażenia podobne musiały być żywe niegdyś na Litwie. Dlatego poeta opisując stos mający pochłonąć zwłoki Litawora mówi, (w nocie 2 p. 53) że w pogańskiej Litwie palono na stosie rycerza i najcenniejszą jego własność, między innemi „paznogcie rysie i niedźwiedzie“.

W „Pieśni o ziemi naszej“ czytamy:

A na pański stół łakocie
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.

Łapa niedźwiedzia, podobna do stopy ludzkiej, upieczona musi budzić wstręt w cywilizowanym człowieku. W zwyczaju tym, podawania na stół niedźwiedzia także i łap, widzę raczej resztki pogańskiego zwyczaju. Zabiwszy zwierzę, spożywa się jego łapy w tym magicznym celu, żeby przez to nabrać w ręku tej siły potężnej, jaką ono posiada właśnie w swoich łapach. O niedźwiedzich łapach na stole pisał mi p. Józef Weyssenhoff co następuje: „...niedźwiedzie łapy sam jadłem wędzone, czy marynowane. Wyglądały nieapetytnie, bo podobne do niezgrabnych, zasuszonych rąk ludzkich, smakowały zaś nijako, jak n. p. resztka szynki przy golonce, suche i słone, bez określonego smaku. Pamiętam,

---

*) Ś. p. prof. Józef Rostafiński, niezmordowany badacz i pisarz, opracowywał pod koniec życia dwie monografje faunistyczne jedną o t u r z e, drugą o n i e d ź w i e d z i u, obie przeznaczone do druku w „Łowcu“, którego ś. p. zmarły był wielkim przyjacielem. Niestety śmierć przerwała te prace. Dzięki jednak uprzejmości rodziny zmarłego, a w szczególności jego syna, prof. Jana Rostafińskiego, pozyskaliśmy dla „Łowca“ inną cenną pracę z teki pośmiertnej wielkiego uczonego, mianowicie tę oto „Gawędę o niedźwiedziu“, będącą wyjątkiem z dłuższego studjum o *Przyrodzie* w poezjach Mickiewicza. *W. Z.*

[1]) Wieś polskiego i drewlańskiego typu, której chaty zbudowane były w okrąg; za mojej pamięci ta nazwa utrzymała się na pastwiska wspólne gminne.

[2]) Rostafiński Józef: Sur les anciennes cérémonies slaves dites „Turoń“ et „Gody“. Biuletyn Pol. Akademji Umiej. Kraków, 12 lutego 1923.

[3]) Poeta mógł zapoznać się z tą nazwą w D. Kniaźnina (1750—1807) operze pt. Cyganie, gdzie niedźwiedź oprowadzany przez cyganów, tak jest mianowany. Kniaźnin urodził się w gubernji witebskiej, więc nic dziwnego, że użył tego rusycyzmu. Wznawia tę nazwę K. Gliński w powieści „W Babinie“, Warszawa, 1893, I. 240.

że jadłem je w końcu przeszłego wieku na święconem u starej mojej krewnej, pani Róży z Łubieńskich Sobańskiej, która szanowała różne tradycje, a między niemi i kuchenne. Stąd wnoszę, że ten przysmak był rozpowszechniony w całej dawnej Rzeczypospolitej, nietylko na Litwie, gdyż pani Sobańska była rodem z Korony, a mąż jej z Podola. Na Litwie, którą znam dobrze, nigdzie przyprawionych łap niedźwiedzich nie widziałem; ale znają je tam ze wspomnień“.

II. Zwierz.

Niedźwiedź jest naszych puszcz imperatorem, jak mówi o nim Mickiewicz (IV. 517), ale o nim nic godnego uwagi prawie w naszej literaturze nie podano, ani pod względem ras, ani pod względem sposobu życia, ani polowania, a przecież jeżeli kto, to myśmy mieli wielu ludzi zdolnych do napisania wybornej monografji o niedźwiedziu. Zamiast tego same bajki, jak n. p. u Haura[4]), albo u ks. Chmielowskiego[5]), gdzie powiedziano, że niedźwiedziom przybywa co rok nerka i że u pewnego osobnika znaleziono ich 170! Ledwo tego ciekawego można się doczytać, że żyje lat kilkadziesiąt i że zdarzały się olbrzymie niedźwiedzie, kiedy bowiem podają dziś długość zwierzęcia jako niedochodzącą dwu metrów, to Rzączyński[6]) mówi, że zabito w Polsce niedźwiedzie, których skóry były 4—6 łokci długie. I historycy mówią o olbrzymich zwierzętach, jak o owym, co sprowadzony z Litwy do Niepołomskiej puszczy za Zygmunta Starego pozbawił nas potomka dynastji Jagiellonów.

Niedźwiedź jest zwierzem zwięzłej budowy, a że ma nogi krótkie, szyję nietylko krótką ale i grubą, wydaje się niezgrabnym grubasem, jakim w rzeczywistości nie jest. Owszem ten jednochodnik nietylko staje na tylnych nogach, ale może chodzić pionowo po ziemi. Chociaż dotyka ziemi całą stopą i nie jest rączy jak wiele innych zwierząt, przecież daleko szybciej bieży od człowieka. Wspina się mimo ogromnej wagi po drzewach chyżo i zręcznie i umie pływać.

Naturalnem pożywieniem niedźwiedzi są pokarmy roślinne, owady, ślimaki, żywi się i padliną, miód nad wszystko przenosi. W braku takiego pokarmu rzuca się na owce, krowy, a skoro stanie się z przyzwyczajenia mięsożernym, dusi naraz — jeśli może — wiele zwierząt bez potrzeby.

Siły w barach jest ogromnej, walczy przedniem kończynami. Zwykle mruczy, rozgniewany srodze ryczy, a w gniewie zapamiętałym rzuca się na człowieka. Zwłaszcza niedźwiedzica broni piastunów bez upamiętania. W gwarze strzeleckiej niedźwiedzięta to piastuny (Szytlera „Poradnik“, str. 75). Towarzyszą one matce przez dwa lata, a w tym czasie, starsze, zeszłoroczne, opiekują się młodszem rodzeństwem. Sądzę, że z tego właśnie powodu zaczęto je nazywać piastunami[7]).

Jestto zwierz obojętny, gnuśny i nieprzemyślny. Obłaskawia się, ale pozostaje grubjaninem i nigdy nie można mu dowierzać, bo nie przestaje być podejrzliwym. Ma zmysł muzyczny, dobrze chwyta takt uchem.

Niedźwiedzie zapadają w sen zimowy. Rozpowszechnione było mniemanie, że „kilka niedziel nic nie jedzą, ani piją, tylko łapy liżą i ssą przednie, bardzo wtedy na siebie nabierając tłustości; humorem podobno przez żyłki z ciała wszystkiego w łapy spadającym, posilając się!“ (sic) — jak mówi ks. Chmielowski. Dziś panuje to wyobrażenie, że skoro mu skóra na gołych stopach jenieje, to odczuwa swędzenie i dlatego łapy liże. Ale Pietruski[8]) tak pisze o niedźwiedziu siwym: „Jestto jedyna rasa u nas, która ma zwyczaj ssać swoje łapy; ta obrzydliwa operacja odbywa się zwykle po jedzeniu, ale nie wyłącznie w zimie, jak niektórzy mylnie utrzymują, tylko w każdej porze roku“. Że to nie właściwość rasy to rzecz pewna, ja sądzę, że tak, jak zdarzają się dzieci, co ssą palce, tak i między niedźwiedziami są tylko pewne osobniki do tego wzwyczajone.

Pietruski odróżniał trzy rasy niedźwiedzi to jest: niedźwiedzia czarno-brunatnego, siwego bartnika, oraz wspomina o zachodzącym z Węgier żółtawo-gniadym. Na Litwie żyją tylko dwie rasy. Ks. S. Jundziłł mówi: „znakomitsze odmiany niedźwiedzi... co do wielkości: wielki pospolicie kasztanowaty i mniejszy, czarny, u nas mrównikiem zwany“. Ten sam autor mówi dalej, że czarny niedźwiedź„ u pospólstwa niekiedy bartnikiem nazywany“ często w puszczach barcie wybiera, i rozkopuje mrowiska, a wielki między innemi żywi się owsem i hreczką.

„Mięso — mówi dalej ks. Jundziłł — do jedzenia zdatne wprawdzie, lecz nieprzyjemnie słodkawe... Łapy na wymyślnych nawet w Europie stołach dawane bywają“.

O niedźwiedziach piszą jeszcze Nowe Ateny (ks. Chmielowskiego, str. 579); „Najwięcej ich od Klewania, dóbr J. O. X. Czartoryskich wychodzi, które tańcowaniem i różnych sztuk reprezentacją ludzkie rekreują oko“. Nawet w obcych językach pisano, że w Polsce jest wysoka (sic) szkoła takiej tresury[9]) Mówiono w Polsce o smorgońskiej akademji. Miasteczko to (w wileńskiej gubernji, o 5 mil od Oszmiany) nie miało żadnej niedźwiedziej szkoły, ale wielu mieszczan tamtejszych trudniło się hodowaniem i uczeniem tańca niedźwiedzi i żurawi. Do czego doprowadzali, tego dowodzi fakt, że Książę Panie Kochanku w Warszawie jechał ze swego pałacu na bal do zamku w karocy zaprzągniętej w cztery ogromne niedźwiedzie!

---

[4]) Skład albo Skarbiec Ekonomiki Ziemiańskiej, przez J. K. Haura, Kraków 1693, p. 292.

[5]) Nowe Ateny, Lwów, 1755.

[6]) Auctuarium Historiae naturalis Regni Poloniae.

[7]) Młode przychodzą na świat w styczniu w liczbie 2—3 sztuk, wielkości świnek morskich.

[8]) Stan. Kon. Pietruski: Historja naturalna zwierząt ssących dzikich galicyjskich. Lwów, 1853.

[9]) F. S. Bock: Versuch einer Naturgeschichte von Ost-u. Westpreussen. Dessau, 1784, IV. p. 55.

Niektóre strony tej biografji Jego Mości pana Niedźwiedzia są wspomniane w poezjach Mickiewicza. Tak mowa o Dobrzyńskim (XII. 258):

...co się zwie Kropidło,
A Mazury zowią go litewskim niedźwiedziem.

I o Żmudzinach jest mowa podobnie w owem porównaniu, gdzie mowa o tworzeniu powstania na Litwie, a Robak mówi do słuchaczy, (VI. 223):

...niechno Pogoń zarży, nie na Żmudzi
Niedźwiedź ryknie!

Rzekoma niezgrabność wypowiedziana jest niedźwiedziowi przez „Ducha“ mówiącego w Dziadach do księdza Piotra (Pisma 2. str. 325):

Żebyś sam widział, jak ty śmiesznie kręcisz łapą,
Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarów...

Niedźwiedź mruk, to cecha charakteru, jaką mu nadano w Bajce: Tchórz na wyborach (1. st. 264). Nazwany też jest w Panu Tadeuszu niedźwiedź „głupim“ (IV. 566 - 570):

Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział.
Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność:
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził...

W ostatnich dwu wierszach pomieszany jest gust brunatnego niedźwiedzia do owsa z gustem bartnika do miodu. Mylną zrobiono wzmiankę w bajce „Przyjaciele“, że niedźwiedź odchodzi od człowieka leżącego bez tchu, sądząc, że to trup, dlatego, „bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je“. Owszem, jak powiedziałem, jada padlinę, nawet nazywają go niekiedy ścierwnikiem.

O głosie niedźwiedzim wielokrotnie jest mowa. Na przeglądzie wojsk w Petersburgu (2. str. 450):

Car, jak kręgielna kula, między szyki
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi.
„Zdrowia ci życzym“ szepcą wojowniki
Ich szepty były jak mruk stu niedźwiedzi.

A cóż zrobił skrępowany Kropiciel? (IX. 32):

Miotał się jako szczupak, gdy się w piasku rzuca
I ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.

Wspaniale porównany jest (X. 72) szum wichrów wpadających do lasu podczas burzy:

Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

Jest mowa (VI. 520) i o ssaniu łapy, kiedy to Maciek, który

By nie spotkać Moskala, po kraju zaborze
Siedział w domu jak niedźwiedź, gdy ssie łapę w borze.

Tu zatem wypowiedział poeta wyobrażenie, że niedźwiedź ssie łapę nie ruszając się z lasu, więc podczas snu zimowego. Nie przepomniano przy okazji o niedźwiedzim tańcu, bo skoro Podkomorzy czuje się obrażonym przez Hrabiego i chce go wyzwać, to chce go zastąpić sędzia i woła (V. 690):

...Protazy, pałasza!
Puszczę go w taniec, jako niedźwiadka na kije.

III. Knieja, ostęp, rzecz o polowaniu.

Skoro puszcza weszła w indywidualne posiadanie człowieka i musiała go stale żywić, a więc łowy były już nietylko przyjemnością, ale także częścią gospodarstwa, to musiano pomyśleć o pewnej organizacji puszczy. Puszczę dzielono na pewne części — knieje — otoczone zewsząd szerokiemi drogami. Tym sposobem ludzie pilnujący kniei i w niej zamieszkali — mogli widzieć przechodzenie zwierza z kniei do kniei; szerokie drogi pozwalały łatwo pojmaną lub ubitą zwierzynę przewozić latem czy zimą do osady pańskiej, a wreszcie drogi zewnętrzne kniei stanowiły też bardzo wyraźną granicę puszczy. I sam właściciel mógł pilnować kniei. Oto jak mu radzi T. Bielawski w XVI. w.[10]):

Sam bez psów objedziesz knieje,
Obaczże, gdzie się co dzieje,
Jeśli tam z psy nie dobieżysz,
Siecią zwierza dobrze wzjeżysz.

Łowiono zwierza w celach gospodarskich w sieci. Gonią też psi — mówi Krescentyn — jelenia, sarny, świnie dzikie, wilki, wszakoż z pomocą sieci i łowców na miejscach, kędy przechadzają zastawionych“. Przemysł łowczy poszedł dalej, otaczał pewne części kniei sieciami, ostępował je ludźmi i dlatego nazwał je ostępy. Nie każdy jednak mógł jak stary wojewoda Niesiołowski mieć pierwsze na świecie ogary, nie o każdym dałoby się powiedzieć:

I dwieście strzelców trzyma obyczajem pańskim
I ma sto wozów sieci w zamku Woroniańskim...

Właśnie dlatego, że nie każdy mógł mieć sto wozów sieci, dzielono knieje na ostępy. Sądzę, że były też zewsząd pooddzielane choć wąskiemi drogami, żeby się dało łatwo obsaczyć je sieciami, co inaczej byłoby przecież niemożliwe.

Wincenty Pol w opisie Puszczy litewskiej nazywa części puszczy otoczone zewsząd brodem t. j. wodami o twardem dnie, w ten sposób ostępem, w tych słowach: „Niekiedy obiega bród takowy obszar puszczy znacznie wyniesionej dookoła i to nazywają ostępem. Myśliwi mają takie ostępy za oddzielne knieje; dogodnie tam bowiem sieć rzucać, psami podkładać i łatwo wystawić myśliwym stanowisko.“

Sądzę, że tu takie części puszczy, które są ostąpione zewsząd wodą nazywano dlatego ostępami. Ale to nie jest właściwa definicja. W. Kozłowski[11]) mówi: — zgodnie z moim poglądem — „Ostęp, obstęp, przestrzeń pewna lasu, w której się zwierz znajduje, mniejsza od kniei“. Tensam autor mówi: „knieja, pewna

[10]) T. Bielawski w „Myśliwstwie“ wyd. Pol. Akad. Um. w opracowaniu Józefa Rostafińskiego.

[11]) W. Kozłowski: Pierwsze początki terminologji łowieckiej, Warszawa, 1822.

część lasu, w której się zwierze znajduje n. p. w tej puszczy są knieje głębokie (str. 66, 39).“ Kozłowski pisał za odnowionego Królestwa Polskiego, kiedy istniały już uporządkowane leśnictwa, kiedy proch przestał być drogi i flinta wyparła zupełnie sieci używane do łowów, zaczem ostęp i knieja stawały się tradycją.

Pomówmy wreszcie jak wygląda niedźwiedź w walce z człowiekiem w IV. księdze Pana Tadeusza. Na niedźwiedzia, na puszcz imperatora (IV. 517), na tego zwierza szlacheckiego (I. 801) nie lada kto się ważył. Wprawdzie Wojski znał „Budrewicza, co chodził z niedźwiedziem w zapasy“, ale to już należało za czasów poety do przeszłości. Przecież jednak sama myśl o polowaniu na niedźwiedzia elektryzowała wszystkich. Chociaż poeta może nie był nigdy na takiem polowaniu, to przecież obraz, jaki pod tym względem roztoczył, jest nadzwyczaj plastyczny, akcję widzi się w rysunku, barwie i głosie. A więc naprzód słyszymy jak raniony

Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały
Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpaczy. (IV. 626).

Dramatycznie, barwnie jest to opowiedziane, ale nieprawdziwie. Poeta musiał słyszeć wielokrotnie jako mały chłopiec opowiadania o niedźwiedziach, [12]) o polowaniu na niego, o zachowaniu się zwierza dopóki nie jest ranny i ranionego, o tem, że może się wznieść i biedz na tylnych łapach, że może rwać za cobądź we własnej obronie, że skalpuje ludzi.

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt [gromu;
W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wzrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo
Kręcąc niem jak maczugą, na prawo, na lewo;
Runął wprost na ostatnich strażników obławy,
Hrabię i Tadeusza: oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
Aż oba jednym razem pociągnęli kórki
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwururki;
Chybili. Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego, czerwonego, dwa rzędy kłów błyska,
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza.
Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy,
Zdarłby mu czaszkę z mózgów, jak kapelusz z głowy,
Gdy Assesor z Rejentem wyskoczyli z boków...

Są to prawdziwe szczegóły, ale zestawione w obraz przesadny, przesadny co do tego, że niedźwiedź w walce idzie ciągle pionowo, że walczy, jakby maczugą uzbrojony człowiek. Cośniecoś podobnego się zdarza, ale zdarza się całkiem wyjątkowo raz na sto razy. [13]) Niedźwiedź rozżarty, biegnąc na czworakach, stara się uderzyć człowieka nagłym, silnym ruchem przedniej łapy, albo stanąwszy przed nim, chce go objąć i powalić, albo popycha go, bije i gryzie. Wrażenie jednak, jakie odbieramy czytając ten ustęp z „Pana Tadeusza“, napelnia nas grozą, widzimy niebezpieczeństwo, rozumiemy, że chwila o wszystkiem stanowi, że podołać jemu może tylko ktoś, kto nie wie, co to jest obawa!

...A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Za nim Robak, choć bez strzelby — i trzej w jednej [chwili
Jakgdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami
I głową na dół runął z czterema łapami (IV. 655).

Pod koniec opowiadania jest moment taki, że zapiera nam oddech i zapierał wszystkim świadkom. Co się musiało dziać w sercu Robaka, kiedy widział, że syn jego może zginąć... O to właśnie poecie chodziło. Tadeusz nieokazał się tchórzem, Hrabia nie jest poniżony, wszyscy jednak patrzący na ten moment, kiedy niedźwiedź runął, czuli, że tu ułamki sekundy zadecydują o losie myśliwego!

Triumfatorem takiego polowania jest: Kto kudły niedźwiedzie podesłał pod nogi (I. 182 i I. 152) i dlatego też Sędzia chce mieć skórę zabitego Maruchy!

Sławny strzelec zakopański, stary Sabała, opowiadał mi wielokrotnie o swoich zmaganiach z niedźwiedziami, a kiedy raz zapytałem, czy się kiedy nie bał, odpowiedział mi: „proszę ich miłości, czegobym sie miał bać? Kiedy idem na Niego, to wiem, że albo On mój, albo ja Jego“.

Zwiedzałem Tatry już przed jakiemiś czterdziestu z górą laty. Społeczeństwo zakopańskie było wówczas jeszcze bardzo pierwotne, nieraz zbliżone do tego starożytnego typu dawnego, który tak mistrzowsko opisał K. Tetmajer w swojem pomnikowem „Na skalnem Podhalu“. Zwiedzałem Tatry nietylko ujęty ich pięknością, ale także w naukowych celach. Dobrałem sobie dwu, słynnych później przewodników: Wojciecha Roja o mazurskich rysach twarzy i Szymona Tatara, z kruczym włosem, orlim nosem, typ szlachecki, przypominający legendarnego Janosika.

Przed niedźwiedziem mieli moi przewodnicy respekt, jako przed niebezpiecznem zwierzęciem. Co innego Sabała, z którym się rychło poznałem; przy każdej sposobności rozmawialiśmy o polowaniu. Sabała był namiętnym myśliwym. Za nic sobie miał życie, jeżeliby miał zginąć w objęciach łap niedźwiedzich. [14]) Ta jego filozofja

[12]) J. Tretiak: Adam Mickiewicz w świetle nowych źródeł, Kraków, 1917, p. 85.

[13]) Brehm: Tierleben, Leipzig, 1900, 2, p. 231.

[14]) Dnia 14. sierpnia 1879 r. odbyło się poświęcenie „Bramy Kraszewskiego“ w dolinie Kościeliskiej wraz z wmurowaniem tablicy pamiątkowej przez T-wo Tatrzańskie. Z okazji tej wysłano adres do J. I. Kraszewskiego, na którym Sabała tak się podpisał: „Jan Sabała Krzeptowski, ten, co zabił 9 niedźwiedzi i 17 wilków“.

była dla mnie długo niezrozumiała. Instynkt samozachowawczy człowieka zmusza go bezwiednie do chronienia się przed śmiercią. Wprawdzie człowiek mężny naraża się, nieraz świadomie, dla idei na niebezpieczeństwo utraty życia, ale niezrozumiałe mi było stanowisko Sabały.

Wyjaśniło się przypadkiem, kiedy Sabała był, jak mniemał, ostatni raz w górach. W towarzystwie kilku osób, wśród których był mi bliski dr. Chałubiński, z góralami, między którymi był Sabała, znaleźliśmy się na Krzyżnem. Mieliśmy już schodzić, aż tu Sabała, któremu wzrok mocno nie dopisywał, stanął i zaczął się zwracać po kolei w corazto inną stronę świata, kłaniając się i zdejmując za każdym razem kapelusz. Pytaliśmy go, coby to znaczyło? Sabała nam wyjaśnia rzecz nadzwyczajną: mówi, że może już po raz ostatni jest w górach, że się żegna z niemi. Żegnał za życia, bo przecież, skoro umrze, to będzie sobie przelatywał z Krzyżnego na Mięguszowieckie i na Wysoką i będzie polował na kozice, na rysie, na niedźwiedzie!

Dlatego mógł Sabała mówić z uśmiechem o zmaganiu się z niedźwiedziem, ginąc nawet przytem śmiercią. To mówił bowiem człowiek jeszcze z pierwszej połowy XIX wieku. To mówił przez jego usta człowiek pierwotny, człowiek wierzący, że śmierć usunie wszelkie trudności ulubionego nad wszystko myślistwa. Przyszłe życie, to nie tam, gdzieś, nie wiadomo gdzie, jak to ludzie mówią, ale tu, na ziemi, wśród wirchów, swobody, wolny byt od trosk i oddany cały myślistwu!



ST. ZABOROWSKI

Ziemia Sfinksa*)

W słońcu, wśród złotych piasków nad Nilem, z rozkazu Faraona, jak olbrzym-pies na straży, jak lew przykuty u progu pustyni, leży Sfinks.

Kamiennemi oczami patrzy w nieskończoność i strzeże tajemnic Świętej Rzeki, którą, z głębi Czarnego Lądu, życie płynie. — Pięćdziesiąt wieków minęło; — pięć tysięcy lat! wieczność prawie, a Sfinks leży nad Nilem i czuwa!

Narody, religje, trony rodziły się w jego oczach i umierały, on tylko, symbol życia nieodgadniony, jak życie samo odwieczny, przetrwał i — patrzy na świat, jak patrzył za Faraonów.

Przez długie dni swego istnienia widział Babilon, Rzym, Kartaginę; widział jak powstały i jak poszły w proch. — On jeden tylko, granitowy, niepożyty, przetrwał, dochował tajemnicy i zawsze ten sam, spogląda na pokolenia ludzkiego mrowia, snujące się u jego stóp.

Dragomani mówią, że w jasne, pogodne noce Sfinks uśmiecha się niekiedy; — to rozmowa dwóch starych przyjaciół. — Odwieczny podróżnik — miesiąc opowiada druhowi swemu na ziemi, co widział, wędrując nad światem.

Wszystko jak było; nie zmieniło się tam nic. — Na ziemi, od początku świata, od dnia narodzin Sfinksa — to samo. — Po dawnemu ludzie, plemię Kaina przeklęte, nienawidzą się wzajem, gnębią słabszego, krew przelewają dla złota i krzyżują swych proroków. Unosi ich pycha, więc roją o duszy nieśmiertelnej i żyć chcą wiecznie. Sfinks milczy i słucha. — U podstawy jego tymczasem, wśród złomów skały, skomlą i gryzą się szakale.

— Ludzie! — ich nadzieje, ich rozczarowania, ich istnienia całe — ludzie nieśmiertelni!

Miesiąc na niebie opowiada, a na ziemi Sfinks śmieje się szyderczo. — On widział ich tylu; największych mocarzy świata: Ramzesów, Aleksandra, Cezara, — dynastje całe! — Na jego kamiennem czole, hodowane w słońcu wolności, a karmione chwałą, wypoczywały niegdyś orły wielkiego Cesarza, zanim zerwały się do lotu, przeleciały nad światem i zginęły w śniegach ciemnej północy...

Minęło! — jak oka jedno mgnienie, jak krótki sen jednej nocy!...

Dla niego, dla Sfinksa, wobec nieskończoności, która go rodziła, były to chwile tylko, a najmożniejsi tej ziemi ziarnkami piasku, rzucanemi wichrem pustyni. — Wiecznym dla Sfinksa czas jest tylko i tajemnica życia, a nieśmiertelnem słońce, gwiazdy i płynąca cicho Święta Rzeka,

*) Jest to wstęp do niewydanego jeszcze dzieła o myśliwskiej wyprawie znakomitego naszego pisarza do Afryki. Ustęp ten drukujemy dzięki łaskawemu zezwoleniu Szanownego Autora.

OLGIERD CZARTORYSKI

Wspomnienia z tegorocznego rykowiska w Karpatach

Już w początku września ogarnia myśliwego pewien niepokój, który z dniem każdym się wzmaga. Zbliża się najpiękniejszy, najbogatszy w wrażenia okres roku łowieckiego, wyjazd w Karpaty, na rykowisko jelenie. Od 15-go począwszy, ciągnie z wszech stron Polski przez Lwów długi zastęp, elita myśliwych, do swych karpackich rewirów. W ślad za nimi i ja podążyłem do Zielenicy nad Bystrzycą, którą dzierżawię od 1920 roku. Od tego czasu, czyli od dziewięciu lat, sześć razy sam byłem na rykowisku, do strzału jednak nie dochodząc. Wojna ten rewir wyniszczyła, latami całemi kłusownicy bezkarnie swe harce uprawiali, a ja słabego jelenia zabić nie chciałem. Dopiero w ostatnich latach, dzięki wyjątkowym zabiegom i niezmordowanej energji tak wytrawnego myśliwego, jakim jest p. radca Romanowskl, zwierzostan wolno, ale stale się podnosił, tak, że tego roku z nadzieją w sercu w góry się wybierałem, gorąco prosząc św. Huberta, ażeby i na mnie raz łaskawem okiem spojrzeć zechciał.

We Lwowie ogarnęła mnie, tak jak corocznie o tej porze, ta zupełnie specjalna, a niesłychanie miła atmosfera myśliwska. Spotykam przyjaciół i znajomych, bliższych i dalszych sąsiadów karpackich, których wszystkich łączy jedna i ta sama myśl, jedna i ta sama nadzieja zdobycia złomka jedliny. Następuje wspólna wymiana zdań na temat tegorocznego rykowiska, przestrogi i nauki doświadczonych bywalców karpackich, w podchodzeniu jelenia niezrównanych; na nich z zazdrością spoglądam, z niejednego ich słowa zawsze jeszcze jakąś nową naukę czerpiąc.

Dowiaduję się, że niejeden myśliwy już w Karpaty podążył, że Adam Zamoyski od kilku dni w górach, że Cardeza z Ameryki na rykowisko zjechał — i tylu, tylu innych, że najazd Węgrów na Wełdziż nastąpił.

Nareszcie dnia 20. dostaję i ja upragniony telegram: „proszę natychmiast przyjeżdżać". Pierwszym pociągiem wyjechałem do Zielenicy; nazajutrz o świcie opuściłem gościnny dom Państwa Romanowskich i konno, w towarzystwie Hucułów i szeregu koni dźwigających worki i tobołki. Do mojej koleby na „Sadki" pod Gorganami wyruszyłem.

Minął tydzień; szalały wichry i burze, mgła nie ustępowała; jelenie słabo i tylko w nocy się odzywały. Wysłuchy niezmiernie były utrudnione i mimo wytężo-

---

I słucha Sfinks, co mówi miesiąc; słucha, milczy i śmieje się drwiąco. — A kiedy zaświta dzień, kiedy nad Arabją pokraśnieje niebo, a nad Nilem ciągną już ibisy, kiedy życie i siła tej ziemi, felah-nędzarz staje do pracy, — Sfinks kamienieje znowu i — znów martwy, znów obojętny, strzeże rzeki, która życie daje i która niesie na swych falach tajemnice krajów dalekich, bajecznych, zaklętych gdzieś w głębiach Czarnego Lądu, w głębiach Ziemi Słońca, w głębiach Afryki.

Jak krople, spadając w ocean nieskończoności, wieki płynęły za wiekami. Afrykański Sfinks czuwał i, grzejąc się w płowych żarach słońca, śmiercią groził zuchwalcom, chcącym zdzierać zasłony, za któremi niedostępna, nietknięta, jak sam Sfinks tajemnicza, niby zaklęta czarna królewna pełna czaru i ponęt, spała Afryka.

Na jej wybrzeżach, nad morzami, mieszkały niegdyś wielkie narody i kwitnęły państwa, zadziwiające cywilizacją świat cały. — Wiedziano, że ciągnęły się za niemi niezmierzone, martwe pustynie, na których, od żaru słońca ginęło życie, a na śmiałego wędrowca czekała śmierć. — Głębiej zaś, — sięgano tylko baśniami i wyobraźnią. — Odgrodzone pustynią, gdzieś w sercu Afryki, skąd wypływał Nil, pogrążone w mroku odwiecznej tajemnicy, leżały w otchłaniach Czarnego Lądu ziemie niedostępne, zaczarowane.

Z bajecznych tych krain dostarczano na rynki świata złoto, pióra strusie, kość słoniową, drogie kamienie i sprowadzano nieznane nikomu dzikie zwierzęta, wypuszczane w Rzymie na arenach.

Stamtąd, od wieków, tajnemi szlakami, po manowcach zlewanych łzami i krwią, pędzono na sprzedaż ludzkie bydło, „czarny heban", tysiące i tysiące, chwytanych we wnętrzu, czarnych niewolników.

Żeglarze, którym droga wypadła wzdłuż brzegów dziwnej tej ziemi, opowiadali, że co roku, o tej samej porze, Afryka pali się cała. — Tacy, których burze wyrzuciły na brzegi Czarnego Lądu, nie powracali nigdy; pożerał ich Sfinks, a kości bieliło słońce.



nych wysiłków nie spotkałem, godnego strzału, jelenia. Dzień za dniem na bezowocnych podchodach upływał, termin wyjazdu nieubłaganie się zbliżał, aż nadszedł 30-ty września. W nocy wyruszyłem w dół, do potoku na wysłuchy; gdy już dosyć nisko zeszedłem, odezwał się nagle gruby jeleń, ale hen wysoko w Gorganach, pod samym prawie wirchem i kosodrzewiną. Nie było czasu do namysłu; w ciemną noc, zgasiwszy latarkę, bez ścieżki, poprzez gąszcze, wywroty głazy kamienne z pod nóg zdradziecko się usuwające, wspinając się na czworakach pionowo w górę, zacząłem go podchodzić. Straszny był ten podchód, trwający nieomal trzy godziny. Myślałem już, że do celu nie dojdę; tchu mi zabrakło, nogi posłuszeństwa odmawiały, pot strumieniami spływał, a przedemną jeszcze zwarty gąszcz świerczyny, przez który przedrzeć się trzeba. Ale ciągły ryk jelenia nowych sił i otuchy mi dodawał.

Równolegle zemną postępował, rycząc, słabszy jeleń, utrudniając mi niezmiernie podchód. Przedarłszy się wreszcie przez krzaki, ujrzałem na szarem tle nieba, wysoko nademną, przesuwające się ciemne sylwetki przez wysoki gęsty las, w górę, ku kosodrzewinie. Kilkadziesiąt kroków za niemi, w należytej odległości pełen respektu dla starszego rywala, posuwał się, rycząc bezustannie, ów drugi jeleń, o ile dojrzeć mogłem, niezły dwunastak. Lecz nie on mnie interesował; wpatrzony byłem uporczywie w tamte sztuki, aż raptem mignął mi w gąszczu wysoki, rozłożysty wieniec, zdawało mi się, że kapitalny. Strzał był niemożliwy. Ręka mi drżała, luneta mgłą zaszła, pot oczy zalał, a jelenia przesuwającego się zakrywały to łanie, to krzaki lub drzewa. W tych warunkach ryzykować strzału nie chciałem, więc, by się nieco uspokoić, odłożyłem sztucer. Tymczasem dzień zaświtał, słońce przebiło się przez chmury i mgłę, jasną smugą oświeciło szczyty gór i wąską lukę między dwoma jodłami w chwili właśnie, gdy przez nią kilka sztuk się przesuwało. Leżąc na ziemi z sztucerem gotowym do strzału w tę lukę, z zapartym oddechem czekałem... jak długo? — nie wiem! może wieki całe. Ręka mi już mdlała, serce waliło ciężkim młotem, miałem wrażenie, że odgłos jego jelenia mi spłoszy...



Naraz wolno i majestatycznie, w blasku promieni wschodzącego słońca, wysunął się do połowy jeleń i stanął w luce, może 90 kroków nademną. Łeb, ozdobiony wspaniałym wieńcem i komorę miałem, jak na dłoni. Wyprężył się i zaryczał długo, przeciągle, załośnie; podobnego ryku dotychczas nie słyszałem. Echo jego odbijało się po górach i stokach. Potężny król Karpat, jakby przeczuwając swój kres, żegnał się z górami, wirchami, potokami, żegnał tę kolebkę, środowisko swoje, ten król, który przetrwał wojnę światową, inwazje wszelkie, którego kule kłusownika go nie dosięgły. Żegnał się z życiem w blasku tego wschodzącego dnia, wspaniały i dumny. Ja zaś leżałem wsłuchany w tę piękną muzykę i wpatrzony w cudny obraz...

Zmuszony jednak, z żalem nieomal pociągnąłem za cyngiel... Szalony skok w górę, z trzaskiem i łomotem, porywając za sobą pnie zmurszałe i kamienie, jak lawina potoczył się na dół — i cisza grobowa zaległa wokoło...

Nieudolne pióro opisać nie potrafi, co się zemną działo. Wszystko to było tak wspaniałe, tak wyjątkowo piękne warunki, jak rzadko się zdarza. Z rozpierającą pełną radości piersią, podbiegłem do zdobyczy. Lecz radość moja przeszła najśmielsze oczekiwania, gdym leżącego z kulą na komorę, opartego o pień jodły, jelenia zobaczył. Wspaniały, bezkonkurencyjny wieniec, nagrodził moje trudy i zmagania... św. Hubert uznał mnie godnym posiadania krórewskiego daru. Czy spotka mnie jeszcze kiedy podobna łaska? Szaloną radość jednak paraliżowała jakaś gorycz, jakieś dziwne, nieznane

uczucie krtań ściskało, jakby łzy w oczach czułem, jakby żal jakiś...

Sędziwy to musiał być jeleń, nieregularny 12-stak, wstecznik, miara jego: 124 cm wysokości, 129 cm rozpiętości, a obydwa pnie tak grube, że ich ręka nigdzie prawie nie obejmie, po 19 resp. 20 cm, wspaniale do samej góry operlone, jakby ręka artysty jubilera misternie je wycyzelowała. Waga po wygotowaniu ze skóry 12·7 kg. Po spreparowaniu 9·7 kg.

Wywiozłem z Karpat poraz pierwszy bezcenną pamiątkę, a z nią razem najcudniejsze wspomnienia myśliwskie, których ani lata, ani żadne inne wrażenia już nigdy zatrzeć nie zdołają. Tem większą wdzięczność odczuwam i cześć należną św. Hubertowi składam, iż wynagrodził mi tyle lat czekania i swoją łaską i tak cennem, wprost muzealnem trofeum mnie obdarzył.

Tegoroczne rykowisko, uwieńczone tak wspaniałym rezultatem wzmogło we mnie i wzmocniło to bezgraniczne zamiłowanie — które zawsze odczuwałem — do tego raju myśliwskiego, do łowisk naszych karpackich, które takie skarby w swych wnętrzach kryją.



ANTONI br. GOETZ-OKOCIMSKI
z niedźwiedziem ubitym w r. 1925 w Wełdzirzu (Karpaty wsch.)



JAN br. GOETZ-OKOCIMSKI z jeleniem 18-akiem ubitym w r. 1927 w Delatynie (Karpaty wsch.)



Ten sam 18-ak waga 10 kg.

JANUSZ DOMANIEWSKI

NIEDŹWIEDŹ W TATRACH

W zeszłym roku, latem, zabito po północnej stronie Tatr dwie niedźwiedzice. Pozostało po nich troje młodych. Biedactwa, pozbawione matek, nie znające terenu, nie wiedzące, gdzie schronić się przed ludźmi, uciekając wciąż przed nimi, przez dziwne jakieś fatum, trafiały właśnie wciąż na drogi lub szlaki turystyczne. Początkowo błąkały się osobno, późnlej stowarzyszyły się i chodziły razem: jeden większy, a dwa drugie, te od innej matki, nieco mniejsze.

Bezwątpienia widziało je kilku turystów; dziesiątki jednak płoszyły je, nie widząc, a nawet nie wiedząc o tem. Niemniej jednak każdy turysta powracający w drugiej połowie lata i jesienią z gór, za punkt honoru uważał sobie opowiadanie o spotkaniu niedźwiedzia „niebywałych rozmiarów“. Od „pewnej śmierci“ wszystkich tych turystów, broniły zawsze dwie główne zalety taternickie: dobre nogi i przytomność umysłu. Tak brzmiały opowiadania. Opowiadał to każdy. Wytworzył się w tym kierunku snobizm. Było poprostu w złym tonie być w górach i nie widzieć niedźwiedzia.

A cóż dopiero czasopisma! Sezon kaczek minął, po nim nastąpił sezon niedźwiedzi. W tej chwili leży przedemną kilkadziesiąt wycinków z różnych gazet. Nieprawdopodobne historje! Przedewszystkiem o tych wszystkich, którzy wsławili się widokiem niedźwiedzia w górach! I o mnie też tam nie zapomniano. Ba! Nawet „Gazeta Gdańska“ (Nr. 236 z dnia 15. października 1927), której raczej o wężu morskim wypadało pisać, zajęła się niedźwiedziami i podała taką rewelację: „Kustosz Muzeum Tatrzańskiego, prof. Domaniewski, botanik — w czasie obchodu lasów tatrzańskich, napotkał na drodze do Morskiego Oka, trzy młode niedźwiadki, które wybiegłszy z lasu, spacerowały po gościńcu. Niedźwiadki dopiero na widok ludzi uciekły w głąb lasu“. Notatka ta różni się od innych przedewszystkiem brakiem nadzwyczajnych przygód, zawiera też w sobie duży procent prawdy. Naturalnie niedźwiadki nie spacerowały po szosie i ja nie jestem botanikiem. Pisałem zresztą o tem spotkaniu na innem miejscu. Nie będę się więc powtarzał.

Wspomniawszy o wiadomościach dziennikarskich, nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania kilku innych notatek. Tak więc „Ilustrowany Kurjer Codzienny“ (Nr. 223, 14. sierpnia 1927) pisze: „Zakopane, 12. sierpnia (Ts). Przed kilku dniami donosiłem o rozszarpaniu przez niedźwiedzicę w okolicy Jurgowa kilkunastoletniej dziewczyny. Za niedźwiedzicą urządzono pościg, który jednakże nie dał rezultatu, gdyż umknęła ona w lasy Jaworzyny na czeską stronę. Przedwczoraj złośliwa niedźwiedzica napadła w lesie na czeskiej stronie w okolicy Pospady 14-letnią dziewczynę, którą rozszarpała na miejscu. Tego samego dnia w godzinach wieczornych niedźwiedzica napadła w tych okolicach 18-letniego góralczyka, którego okropnie poraniła. Przewieziony on został do szpitala, jednakże niema nadziei utrzymania go przy życiu.

Dyrektor dóbr księcia Hohenlohe p. Kögel, zorganizował wczoraj wielką obławę przy pomocy tamtejszej ludności. Podczas polowania udało się niedźwiedzicę zabić. Jest to okaz niezwykłych rozmiarów. Młode niedźwiadki w czasie obławy uciekły w las“.

„Kurjer Polski“ (Nr. 245, 7 września 1927), pisze znów tak: „W okolicy Kościeliskiej doszło onegdaj do walki górala z niedźwiedziem, który wypadłszy z lasu na stado owiec, porwał jedną sztukę i uniósł ją w zarośla. Gdy juhas nazwiskiem Jan Daniec rzucił się w pogoń za rabusiem, rozzuchwalony niedźwiedź, pomrukując gniewnie, skoczył na śmiałka. Góral zamachnął się siekierą na niedźwiedzia, lecz chybiwszy, cofnął się, wdrapując się na sąsiednie drzewo. To uratowało go od niechybnej śmierci“.

Najciekawszą jednak i najbardziej zajmującą bez żadnej wątpliwości, jest wiadomość podana przez „Nasz Przegląd“ (Nr. 217, 8. sierpnia 1927) pod tytułem: „Przygoda z niedźwiedziami w Tatrach“. Brzmi ona: „W środę ubiegłą wracali lasem z Morskiego Oka przez Roztokę po pod Wołoszyn dwaj turyści na halę Wachsmudzką, z której zboczyli między Psią Trawką na polankę celem wypoczynku. Ponieważ słonko przygrzewało, p. dr. Stanisław K. z Krakowa i p. Jan S. z Warszawy zażywali w pełni kąpieli słonecznej w strojach adamowych, będąc pewni, ze nikt im w tej miłej sielance w zacisznem ustroniu leśnem nie przeszkodzi. Nagle z gęstwiny leśnej posłyszeli chrzest łamanych gałęzi i niebawem wyskoczył w wesołych i niezgrabnych podrygach niedźwiadek, którego gonił mniejszych rozmiarów niedźwiedź. Turyści nie mieli jeszcze czasu z pierwszego wrażenia ochłonąć, gdy za dwoma nieproszonemi gośćmi wypadła niebywałych rozmiarów niedźwiedzica, objawiając groźnym pomrukiem swój zły humor i pędząc wprost na legowisko turystów. Ci ostatni widząc groźną sytuację, nie mieli już czasu myśleć o swej garderobie i rozłożonych na ziemi prowiantach, poczęli uciekać — ile im tylko sił starczyło, w przeciwną stronę lasu.

Po pół godziny p. dr. K. ochłonąwszy z pierwszego strachu, wrócił cośkolwiek, wdrapując się na wysoki świerk, skąd dojrzeć mógł ową niefortunnie wybraną na odpoczynek polankę. Tu oczom jego przedstawił się dość pocieszny widok. Zamiast turystów, zabrała się do prowiantów rodzina niedźwiedzia, spożywając smacznie chleb, ser, cukierki, wylizując herbatę cieknącą z manierki, z którą niedźwiadki dość ciężko się obchodziły, oraz nieufnie obwąchując wędliny.

Zabawa i igraszki niedźwiedzi trwały około dwu godzin, gdy tymczasem turyści strwożeni o swoje życie i całość pozostawionej garderoby wraz z pieniądzmi

i papierami, musieli się — jak niepyszni — z wierzchołków drzew z zapartym oddechem przypatrywać. Wreszcie niedźwiedzia rodzina, skonsumowawszy prowianty i porozrzucawszy garderobę, powędrowała, pomrukując, w dalsze ostępy leśne.

Pp. dr. K. i S. wyczekawszy jeszcze z godzinkę, czy sympatyczni goście leśni nie wrócą, zleźli wreszcie ze swych miejsc obserwacyjnych i ubrawszy się, umknęli w stronę Zakopanego“.

Nad opisem tym, jego stylem i prawdopodobną narodowością autora, nie będę się zatrzymywał. Przypuszczam jednak, że jeśli coś w tem zdarzeniu jest prawdziwego, to w każdym razie bardzo mało.

Inne opisy podają szczegóły jeszcze mniej prawdopodobne, rozwodzą się nad klęskami górali, którym niedźwiedzie pożerają całe wagony owsa i zabijają setki owiec.

Co do szkód, to były one w samej rzeczy. Mianowicie na naszej stronie niedźwiedź wziął dwie owce, a w Małem Cichem Zarząd Dóbr Zakopane zapłacił za szkody w owsie około 40 złotych, według szacunku samych górali.

Jak więc naprawdę wygląda stan niedźwiedzi w Tatrach? Jako kierownik łowiectwa w Zarządzie Dóbr Zakopane (Fundacja Kórnicka), do którego wraz z dzierżawami należy polowanie na znacznej przestrzeni Tatr Polskich, pozwolę sobie na pytanie to odpowiedzieć czytelnikom „Łowca“.

Zacznę od tej niedźwiedzicy, która stała się powodem popłochu wśród turystów. Otóż niedźwiedzica ta istniała naprawdę. W ciągu lata kręciła się ona, z dwoma piastunami, w pobliżu wsi: Małe Ciche, Brzegi, Jurgów i Jaworzyna. Widywano ją na Ryniaszu, Kiczorze, Hurkotnem, w Gołym Wierchu i w dolinie Waksmundzkiej. Była to stara, wyjątkowo złośliwa niedźwiedzica. Zabiła ona rzeczywiście jedną dziewczynę i zraniła lekko chłopca. Zabito ją w Jaworzynie. Nie widziałem jej. Była jednak bardzo mała, zęby miała prawie zupełnie zniszczone. Gdy będę w Jaworzynie, sprawdzę to jeszcze. Po tej niedźwiedzicy zostały dwa piastuny. Druga niedźwiedzica w tym samym czasie trzymała się wyższych partji. Widywano ją po stronie północnej Wołoszyna i Kosistej. Zabił ją kłusownik gdzieś w okolicach hali Waksmundzkiej czy Pańszczycy. Po tej niedźwiedzicy pozostał jeden piastun. Dość szybko te trzy młode niedźwiadki połączyły się i przez resztę lata i jesień trzymały się razem. Widziałem je powyżej 28 kilometra po drodze do Morskiego oka, widywali je i inni wiarogodni świadkowie. Prawdopodobnie jeszcze przed połączeniem się z dwoma wspomnianemi piastunami, sierota pozostały po niedźwiedzicy zabitej na Waksmundzkiej dość często wytykał na ludzi. Raz wyszedł na szosę i biegł za góralami wiozącymi drzewo. Odegnali go krzykiem i machaniem batów — bali się, że za nim idzie stara. Mam o tem relację od leśnych. Podobno prócz tych dwóch niedźwiedzic duży pojedyńczy niedźwiedź kręcił się pod jesień w Roztoce. Wiarogodnych wiadomości o nim nie otrzymałem. Jest jednak prawdopodobne, że kręcił się tam rzeczywiście, w Roztoce bowiem gdzieś zimował jeden niedźwiedź w tym roku.

Co się tyczy Tatr Zachodnich, to jednego niezbyt wielkiego niedźwiedzia zastrzelili kłusownicy w dolinie Chochołowskiej. Ten przeszedł na czeską stronę i tam zginął. Tropiony, miał podobno atakować jednego z kłusowników, dopadł go nawet, ale jakoś nic mu nie zrobił. Nie wiem, ile jest w tem prawdy. Faktem jest jednak, że niedźwiedź był w Chochołowskiej strzelany i że po pewnym czasie znaleziono go rozkładającego się na czeskiej stronie.

Na halę Tomanową z doliny Cichej przez przełęcz Tomanową stale przechodziła niedźwiedzica z dwoma piastunami. Ta to niedźwiedzica zabiła na Tomanowej dwie owce. Prócz niej tropiono tam również pojedyńczego starego niedźwiedzia.

Tak stały z niedźwiedziami sprawy latem i jesienią zeszłego roku. Przejdę teraz do wiosny 1928. Byłem ogromnie ciekaw i zaniepokojony losem trzech wspomnianych piastunów, które trzymały się razem. Czy dadzą sobie radę? Czy przezimowały szczęśliwie? Kazałem je z wiosną specjalnie tropić. Dotychczas jednak niestety nie mam o nich żadnej wiadomości. Jestem też pewien, że na naszej stronie nie zimowały. Czy żyją może na terenach ks. Hohenlohego? Nic o tem jeszcze nie wiem.

W końcu lutego (niedźwiedź tatrzański śpi bardzo krótko) tropiłem bardzo dużego niedźwiedzia na hali Tomanowej. Niedźwiedź ten spał zapewne gdzieś w lasach Tomanowej, być może w Żarze. Wstawszy, pokręcił się po hali Tomanowej, poczem poszedł wprost na przełęcz. Po kopnym, bardzo głębokim śniegu, szedł na przełęcz, jak po sznurku, nie zrobiwszy ani jednego zakosu. Niedawno, zapewne ten sam niedźwiedź, znów pojawił się na naszej stronie. Tropił go jeden z naszych strzelców. Przeszedł przez przełęcz Tomanową a następnie lasami, popod Smreczyński wierch, wyszedł na halę Pyszną. Na hali tej wiosną kazałem rzucić konia. Koń jednak leży nisko, bliżej Ornaku. Niedźwiedź zaś trzymał się zboczy Kamienistej. Na tych zboczach strzelec zgubił trop, zawiany przez wiatr. Gdzie więc niedźwiedź ten poszedł, nie wiem. W każdym razie konia nie ruszył. Było to 30. maja.

Dnia 13. marca tropiłem niewielkiego niedźwiedzia w Dolinie Białego, nie dalej niż dwa kilometry od Drogi pod Reglami. Niedźwiedź ten kręcił się po drodze, potem poszedł na prawo stromym żlebem ku hali Białego, wrócił się atoli po kilkudziesięciu metrach i poszedł na przełęcz Na Patykach. Nie mogłem dojść, skąd się niedźwiedź ten wziął w dolinie Białego. Śnieg leżał stary, bardzo wilgotny, tropy były niewyraźne i w znacznej części zadeptane i zniszczone przez górali, wożących i ściągających ze zboczy drzewo.

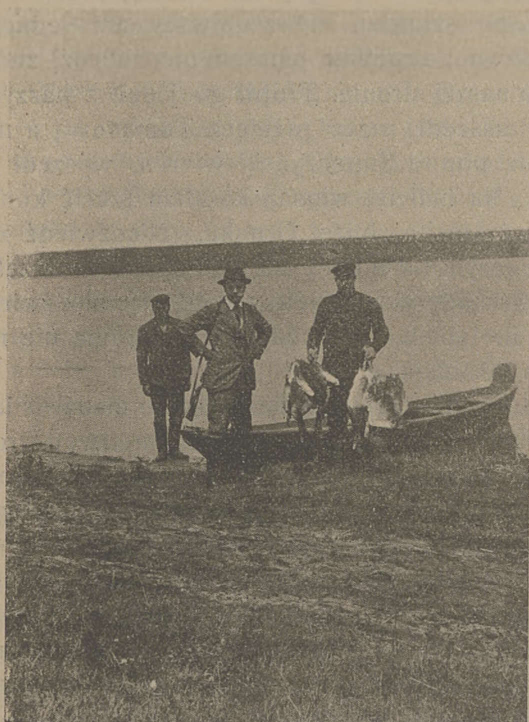
Wspomniałem już powyżej o jednym niedźwiedziu, który zimował prawdopodobnie w Roztoce. Niedźwiedzia tego strzelec nasz tropił w dolinie Pięciu Stawów Polskich. W trzeciej dekadzie maja przeszedł on przez przełęcz Gładką do doliny Wierchcichej.

Również w dolinie Waksmundzkiej jeden z naszych strzelców tropił z wiosną niedźwiedzia. Czy to jednak ten sam, który później pokazał się w Roztoce i Pięciu Stawach? — nie wiem. Wiosna w tym roku wogóle była tak nieprzychylna, a śniegu z zimy zostało niewiele, że trudno się było zorjentować. W tych warunkach, przy małej ilości strzelców, którymi rozporządzam, a w tak ciężkim terenie otropić wszystkie niedźwiedzie jest niepodobieństwem. W niektórych miejscach obecnie leży dużo śniegu, w innych brak go zupełnie. Deszcze utrudniają tropienie. W każdym bądź razie te wiadomości, które posiadam, nie są zbyt przychylne. Dziennikarze i turyści, którzy przyjadą tutaj, będą musieli w tym roku wymyślić sobie jakąś inną atrakcję. Chociaż pamiętać o tem trzeba, że po północnej stronie Tatr niedźwiedzie trzymają się głównie pod koniec lata i jesienią. Chętnie też tutaj zimują.



Nowochwastów, Kijowszczyzna. — Wyprawa na gęsi dzikie

Fot. A Mniszek



Nowochwastów. — Kijowszczyzna
ks. ANDRZEJ LUBOMIRSKI
Powrót z wyprawy

Fot. A. Mniszek



Nowochwastów. — Kijowszczyzna
Aport kaczki

Fot. A. Mniszek

Dr. STAN. KOŹMIAN REJCHER

Pies w przysłowiach

Żadne ze zwierząt domowych nie jest tak bogato reprezentowane w naszych przysłowiach — jak pies. Źródłem tego jest przedewszystkiem nieprzerwalne współżycie człowieka z psem od najodleglejszych czasów, a w konsekwencji zapoznanie się z najtajniejszemi zwyczajami życia i charakteru psa.



Fot. Wł. Garapich

Badacze historji udomowionego psa twierdzą, że pies był pierwszorzędną bronią w ręku człowieka do zdobycia kultury i mają bezsprzecznie rację. Wszak pies jeszcze w stanie dzikim takie korzyści człowiekowi wyświadczył, że trudno, zaiste, pomyśleć, by istnienie i postęp człowieka mógł się bez niego obejść. Ciągłe koczowanie psa obok siedliska ludzkiego i pożeranie odpadków mięsnych, czy padłych zwierząt, albo nawet pożeranie trupów, tak jak dzisiaj jeszcze obserwować to można u niektórych szczepów u progu kultury stojących, musiało bezwzględnie dodatnio wpłynąć na zdrowie i wegetację danego osiedla ludzkiego. Cóż dopiero mówić o okresie od udomowienia psa?! Okres ten, to jedno pasmo zwycięstw natury psa nad naturą człowieka. We wniosku tym nie posuwam miłości swej do psa zbyt daleko. Pies zwyciężył człowieka charakterem swym, wiernością bezinteresowną, służbą za czasami najmarniejsze wynagrodzenie, przywiązaniem bezgranicznem. On nie przysięgał — a jednak nigdy człowieka nie zdradził. On nie obiecywał — a nadziei w nim pokładanej nie zawiódł. Od pierwszej swej znajomości z człowiekiem do dnia dzisiejszego pełni swą wierną, ciężką służbę i dlatego stał się też symbolem najpiękniejszych zalet. Treść życia psa posłużyła ludziom, aby drugich uczyć moralności.

Przysłowia są właściwe każdemu narodowi, a żaden może naród nie szczyci się takiem ich bogactwem słów — jak my.

Ksiądz Golański w pracy „O wymowie i poezji" twierdzi, że „przysłowia, będąc nauką doświadczenia, zamykają w sobie dobrą myśl i dobre jej wyłożenie". Chcąc na zasadzie powyższej definicji dociec przyczynę częstego spotykania psa w niezliczonej ilości naszych przysłowi — musimy wywnioskować, że pies w społeczeństwie polskiem musiał być bardzo lubianym i popularnym, a dalej, że psychologja psa była naszym pra-

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Jedne z ostatnich

Na szczycie granicznego pasma Beskidu u rubieży Rusi czerwonej i dawnej Arpada dziedziny, w pobliżu źródeł Stryja, stała jodeł prababka. Wieki całe przeszumiały nad jej głową, u stóp jej przewijały się barwne łowcze drużyny Zwycięzcy z pod Grunwaldu i późniejsze królowej Bony — i wtedy już znano ją, jako staruszkę i wtedy już podziwiano jej rozmiary. Pokolenia jodeł wzrastały obok niej i padały pod toporem, lub w walce z wichrami, ona jedna, wrósłszy w skaliste podłoże, przetrwała je wszystkie i pomimo, że pień jej wypruchniały służył nieraz za wygodną gawrę misiowi, stała zielona, szumna i niezwruszona, patrząca z góry na dziedziny sąsiednie i na młódź leśną u stóp jej się ścielącą. Szczytem swoim chmur prawie sięgała, a do objęcia jej pnia nie wystarczało czterech dorosłych mężczyzn. Rówieśniczek nie miała. Nieraz zbójecka wataha Dobosza koczowała w jej cieniu, nieraz samotny myśliwy rozniecał ognisko u jej stóp, albo przytulony do jej pnia, czatował na niedźwiedzia, który udeptanym granicznym płajem kroczył tamtędy zamyślony. Nic obcem jej nie było. Widziała niejednokrotnie zmagania ludzkie i walki zwierząt. Znała odzew surm wojennych i dźwięki fujarek pastuszych. Głos rogów myśliwskich otrząsał rosę z jej igieł, a ryk karpackich jeleni budził ją ze snu jesienią. Była całym światem dla mnogiej zwierzęcej i roślinnej plejady. W środku u dołu wypruchniałym pniu gawrował często niedźwiedź, w mniejszych górnych dziupłach mieścił się żbik i para puhaczów, jeszcze wyżej lokowały się kuny, a w szczytowych konarach słały od wieków kruki swe gniazda. Na jej konarach przysiadał często orzeł, a z wiosną z jej ciemnej zieleni płynęła pieśń głuszca. O pień jej smolny ocierały się odyńce i jeleń czemchał swój wieniec, ryś o jej korę ostrzył pazury, a wesołe wiewiórki przewijały się wśród gałęzi. Różne odmiany dzięciołów i sikorek żerowały na jej pniu, gnieżdżąca się w pomniejszych otworach żołna czarna znosiła z daleka świerkowe szyszki i wprawiwszy je w szpary jodłowej kory, pracowicie je wyłuskiwała, to samo czyniły sikory z laskowemi orzechami. Pracowite narody mrówek zamieszkiwały pruchno tej jodły, wywodziły się wśród niego mnogie kózki i legjon różnych owadów, a pień jej oplatały bluszcze i zdobiły przepiękną aplikacją mchy i porosty.

I trwało tak całe wieki. Zmieniały się lasy, zmieniali się ludzie, poglądy, padały państwa, a jodła stała niewzruszenie.

dziadom nie obca. Że twierdzenia moje nie są gołosłowne, potwierdzę imionami, jakie u nas psom nadano. Gdy u innych narodów dawano imiona psom nie mające nic wspólnego z charakterem jego, jak n. p.: Prinz, Rex, Neron, Myra, Lyra, Jeanette i t. d., u nas (nie dzisiaj — tylko za dawnych czasów) psy otrzymywały imiona w zupełności zgodne z ich zaletami, wyglądem, albo usposobieniem. Dawano następujące imiona:

Smyk, Stopka, Chapaj, Łapaj, Capaj, Zalas, Szczekuła, Kurta, Bałwan, Łobuz, Zuch, Błazen, Dolot, Rozbój i inne.

Tylko dokładna znajomość psychologji psiego rodu była powodem, że imiona odpowiednio były dobierane. Czyż wobec tego faktycznego stanu rzeczy dziwnem może się wydać, że mając bardzo dużo przysłowi, które „będąc nauką doświadczenia“, spotykamy w nich psa, jako symbol dobroci, gniewu, wierności, łgarstwa, sprawiedliwości, powagi i t. d.?

Gdy naprzykład chciano zwrócić uwagę na jakąś niemożliwość bądź z winy własnej osobnika, albo niemożliwość fizyczną, to wtedy mówiono:

„Wtedy będziesz bogaty — kiedy pies rogaty“.

Albo:

„Zielone psy, płowe gęsi, — pięć krów za grosz — to rzeczy niepodobne“ (niemożliwe).

Spójrzmy dalej:

„Tyle dbam o to — jak pies o piątą nogę“.

Rzecz zbyteczna, obojętna, niepotrzebna, zgoła do niczego; nie znajduję lepszego wyłożenia myśli, jak w powyżej przytoczonem przysłowiu.

Wszystkim wiadomo, że wierniejszego zwierzęcia niż pies — nie mamy, więc:

„Choćbyś swemu psu i nogę uciął — a on za tobą pójdzie“.

Nawet ból straszny, dotkliwy, nie odpędzi psa od swego pana.

Mówiono: „Lepszy dobry pies — niż zły człowiek“. „Kto miłuje przyjaciela — miłuje i psa jego“.

Chcąc podkreślić służbę niedobrą, uciążliwą, żmudną, mówiono: „Ot — psia służba“.

Pies nigdy jednak na swoją służbę nie narzekał. Przeciwnie, spełniał ją sumiennie — nie szemrząc — i zasłużył sobie tem na taką pochwałę: „Pies dobry — wszak stoi za hajduka“.

Ma się rozumieć i pies zawieść może w służbie, skoro praca powierzona mu będzie ponad jego siły.

Więc: „Gdzie wielkie stado — tam też psów wiele trzeba“.

A tam, gdzie: „Wiele psów — zająca śmierć“.

Nie lubi pies w swej obecności pierzchliwca, trusia! Psa nie trzeba prosić, by szczekał. Byle okazja, a głos jego się rozlega. Własność tę także wyzyskano. Przyjdzie zaraz, za chwilę będzie w domu, zaraz się pokaże — to mówiono: „Co pies szczeknie“.

Jeżeli jednak chciano komu powiedzieć, by uciekał póki czas, to wtedy go ostrzegano temi słowy:

„Strzeż się lewku — psa biją“.

Do najłatwiejszych rzeczy należało: „Kij znaleść — by psa uderzyć“; albo: „Zawżdy łacno o drewno — kto chce psa uderzyć“.

Znałem ją osobiście i corocznie w czasie rykowiska odbywałem do niej pielgrzymkę. U jej stóp starałem wmyśleć się w przeszłość, której ona była świadkiem, w poszumie jej konarów wysłuchać chciałem echa dawnych wieków, wyłowić dźwięki pieśni przebrzmiałych W tok rozmyślań wplatałem własne radości i bole; i jelenie ryczały wokoło, a sztuciec stał bezczynnie oparty o jej pień. Te chwile skupienia u stóp tej prajodły bywały mi rodzajem spowiedzi, po której powstawałem z nowemi siłami, z nowym hartem na wzór tej, która wszystko przetrwała.

I tak bywało co roku. Te pielgrzymki do jodły stały mi się nieodzowną potrzebą w czasie moich rykowiskowych wypraw. Wreszcie niedługo przed wybuchem wielkiej wojny, polowałem znowu jesienią w znajomych górskich ostępach. Roku nie pamiętam już dokładnie. Wiem, że jesień była gorąca i słotna, jelenie źle ryczały; od dni kilku bez skutku błądziłem po górach. Postanowiłem pójść poskarżyć się starej przyjaciółce.

Cel był daleki. Wreszcie z południa wyszedłem z koleby. Znanym mi dobrze płajem, wiodącym ciemnym borem, potem olbrzymiemi, rozsłonecznionemi zrębami, w poprzek wartkich potoków piąłem się ku szczytom. Doszedłem tak do granicy Węgier i dążąc ciągle ku górze przystawałem od czasu do czasu, podziwiając przepiękny krajobraz roztaczający się po obu stronach mojej ścieżki. Jeszcze jedno siodełko, jeszcze jeden pagórek niewielki, a ujrzę Ją, Królowę, z włosem zwisającym aż do ziemi, stojącą samotnie na wysokim skalnym cokole i pozierającą dumnie na ostre zbocza od stóp jej na wszystkie strony spływające, na dalekie pasma górskie, pławiącą się w zorzy bliskiego już zachodu — ujrzę Ją, tę wspaniałą, a tak mi drogą.

Jeszcze ostatni wysiłek...

Wtem ból targnął mą całą istotą. Ujrzałem ją na marach... Na mchach i głazach leżała olbrzymia, potężna i wspaniała — nawet po śmierci, zwalona nie górskim wichrem, nie gromem, ale świętokradzką siekierą, wandalską ręką ludzką. Leżał obumarły ten pomnik leśny, ten świadek tylu wieków, z połamanemi konarami, obumarłem igliwiem, z odsłoniętem olbrzymiem próżnem wnętrzem. Na nic nieprzydatny, zniszczony bezmyślną dłonią. Westchnąłem prawie że jak po drogim mi człowieku. Odkryłem głowę i pożegnałem zgasłą przyjaciółkę. Od tej bolesnej chwili unikałem tego miejsca. A przyczyna śmierci aż rozbrajająca w swej zachłanności... Pokazało się, że do starej jodły zawitał rój pszczół i osiedlił się w jednem dziuple. Skrzętne oko węgierskiego Słowaka wypatrzyło ten „skarb“, a ponieważ był

Pies nie znosi gorącej wody. Dawniej nawet, czasami też i dzisiaj, słyszało się, że pies się wściekł, bo napił się gorącej wody. Pies gorącej wody nie wypije — a ucieka, skoro para nos jego dotknie, a cóż dopiero, jak go oparzyć:

„Ucieka jak pies oparzony“.

Jak pies od gorącej wody, uciekali ludzie nie mający czystego sumienia, złodzieje.

Najlepiej pies się czuje u siebie w domu, więc dlatego „Na swych śmieciach — śmielszy jest“.

Ale za to w obcym domu czuje się nieswojsko i

„Z bojaźni ogon pod się tuli“.

Jak między ludźmi, przed mrukiem wystrzegać się nie zawadzi, tak i wśród psów:

„Pies gorszy, co milczkiem kąsa“.

„Milczy — a złe broi“.

Gdy pies śpi — trzeba mu dać spokój:

„Gdy pies śpi na śmieciu, nie następuj mu na ogon bo cię ukąsi“.

Sen psa nietwardy. Oczy, prawda, zamknięte, ale słuch uważny. Nietrzeba wierzyć snu psiemu:

„Kiedy pies śpi, a żyd przysięga — rzadko wierzyć trzeba“.

Człowiek nakazuje psu, by w złości był ograniczony. Mówi też dlatego, że

„Złego psa — prędzej wilcy jedzą“.

Radzą mu też nie być czupurnym, twierdząc, że

„Przyjdzie na ciebie psie mróz“,

a w najgorszym razie to

„Niespokojny pies ma zawsze potargane uszy“.

Stare przysłowie mówi:

„Żyją jak pies z kotem“.

Z powyżej przytoczonych przysłowi widzimy, że charakter psa znali nasi przodkowie w najdrobniejszych szczegółach. Kosztowało to niemało, albowiem:

„Psy pana zjadły“.

A propos ostatniego przysłowia, jest ładny wiersz Franciszka Karpińskiego:

„W tym lesie Oront od swych psów zjedzony
Stracił na psiarni swój byt — wiano żony,
A potem chodził od głodu wybladły.
A cóż — nieprawda — że go swe psy zjadły?“

Pies zadawala się najlichszym kąskiem:

„Dobra psu mucha“,

a że pies jest dobry, też mu to nie zawsze pomoże:

„Nie zawsze dobry pies dobrą kość dostanie“.

„Starość nie radość — a śmierć nie wesele“, mówi przysłowie. Trafniej wypowiedział to Boy w „Słówkach“.

„Im człowiek starszy,
Tem więcej parszy-wieje“.

Więc i pies na starość jest w stanie nie do pozazdroszczenia:

„Staremu psu, staremu słudze — jedna płaca“.

Chytrość psa zauważyć łatwo, skoro on coś przeskrobie. Robi wtedy niewinną minę, a najczęściej unika wzroku i bliskości swego pana. Nie zwabi go wtedy niczem:

„Czuje pies, że zjagł sadło — a boi się kija,
Choć mu chleba pokażesz — zdala cię omija“.

Wyżej podałem, że pies lubi szczekać. Często szczekający pies, albo „Szczekuła“, to pies niedobry“

---

niedostępny, — postanowiło zwalić olbrzyma, by dobrać się do pszczół i miodu. Po kilku dniach uciążliwej pracy ojca z synem padło bezbronne drzewo — tem bezbronniejsze, że rosło w lesie gminnym, pozbawionym wszelkiej straży i opieki.

Lata minęły, bolesne wspomnienie żyje jeszcze, a tam na ziemi Arpada leżą pewnie jeszcze zwaliska tej prajodły, której równej nie łatwoby znalazł.

W cichej wiosce skrytej wśród wzgórza i lasów nad bystrym potokiem, na malowniczym pagórku stał drewniany odwieczny kościółek, a w niewielkiej odległości od niego rosła lipa pewnie piastowskie pamiętająca czasy. Mały stary kościółek i prastara lipa należały do krajobrazu, w którym tworzyły malowniczy szczegół. Kościółek obsługiwał dosyć dużą parafję, pamiętał liczne pokolenia, które w nim chrztu szukały, by potem znużone głowy pokłaść na przyległym cmentarzu. Lipa bodaj czy nie pamiętała ołtarzy Perkuna i Światowida, zanim się przy niej nie znalazła chrześcijańska świątynia. Olbrzymia była, rozrosła i widna z daleka. Patrzyła na powstanie gminy i kościółka, uczestniczyła w smutkach i radościach jej mieszkańców. Pamiętała dni chwały i upadku Ojczyzny, znała bohaterów i zdrajców Narodu Istniało podanie, iż osobiście odwiedzał ją król Jan III i że w jej cieniu spoczywał Kościuszko, a drogą obok niej wiodącą maszerowali Ci, co przeszli „Wisłę i Wartę“, a w kościółku obok niej modlili się Ci, co byli później na polach Iłży i na okopach Pragi i Ci, co jak z motyką na słońce porwali się na potęgę caratu w 1863 r. W lipy tej cieniu leżały też i ofiary rzezi tarnowskiej z 1846 r. Miała ta lipa i weselsze wspomnienia, pamiętała czasy, gdy miłość bliźniego nie była czczem słowem, gdy nieznaną była jeszcze melodja czerwonego sztandaru, gdy Słowo Boże płynące od słóp ołtarza starodawnego kościółka padało na rzeczywiście urodzajną grzędę i żyło w ścisłej symbiozie z kościołem, którego powstania było świadkiem. Pod nią gromadziły się rzesze czekające na nabożeństwo, pod nią w świąteczne popołudnia zbiegała się młodzież wiejska, pod nią radzili starzy, a zawsze ważniejsze zdarzenie we wsi nie odbyło się bez współudziału lipy.

W maju, z jej gałęzi, towarzyszył słowik pobożnym pieniom kościelnym. Zieleniła się i kwitła bogato latem, huczała rojami pszczół biorących z niej pożytek, jesienią złotym liściem zaścielała, jak dywanem placyk przed kościółkiem i piękną była, poważną, wspaniałą i szanowną — słynną i podziwianą w szerokim promieniu.

Można porównać z krową, która dużo ryczy, albo z człowiekiem „gadułą“ albo plotkarzem:

„Psi głos — nie idzie pod niebios“.

Tylko:

„Bojaźliwy pies więcej szczeka, niż gryzie“.

Ludzie nie lubią słuchać wycia psa. Na wsi twierdzą, że jak

„Psy wyją – to śmierć zwiastują“.

Inni znów, gdy mówili, że

„Psy mu za uchem wyją“

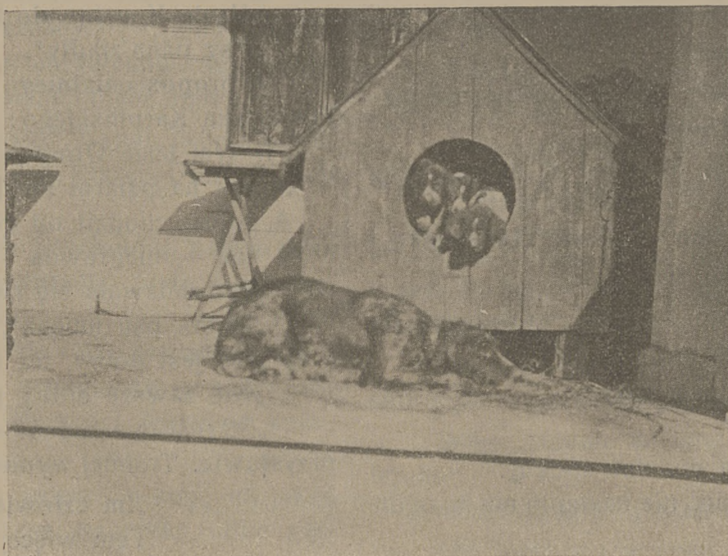
albo

„Cieszą go drudzy. — Drudzy z niemi piją. A jemu prawie psi za uchem wyją“

to znaczyło, że kłopotów ma bez liku.

Najgorszą wadą psa jest, jeżeli na zły ślad myśliwego prowadzi. Klnie wtedy myśliwy i słusznie. Nachodził się za psem w mniemaniu, że pies go dobrze zaprowadzi, a tymczasem fiasco. Psa mylnie prowadzącego na ślad, nazywano „Łgarzem“. Z tego powstało przysłowie

„Łżesz jak pies“.



Fot. Wł. Garapich

Ten, kto psa tresował — to wie, że nic łatwiejszego, jak psa zepsuć. Zepsutego psa też trudno naprawić i dlatego też mówią

„Jaki pies do kościoła — taki i z kościoła“

czyli innemi słowy, że pociechy z niego prawie nie będzie. Lubi on bowiem:

„Wracać do swego nałogu — jak pies do swego barłogu“.

Wyżej przytoczone przysłowia nie wyczerpują całego materjału. Wyszczególnić wszystkie istniejące przysłowia na temat psa, jest wielka praca, ale jej się nie wyrzekam, bo, jak mówią, jestem

„Psem na robotę“.



Nadeszły nowe czasy. Gmina urosła, kościółek pomieścić nie mógł i połowy parafian. Rozebrano starą, czcigodną świątynię, zmurowano nowy błyszczący kościół. Miała nastąpić konsekracja nowego przybytku Bożego w 1914 r.

Lecz wybuchła „wielka wojna“. I znowu u stóp starej lipy płynęły przez długich lat kilka napierające, to cofające się zbrojne zastępy. Świat cały ział ogniem i trząsł się w posadach, zmagały się z sobą ludy jego połowy. Z ognia bitew uniół nowy Dom Boży poważne szczerby, a w lipy łonie ugrzęzło kilka granatów, które sterczały na zewnątrz jako pamiątka historycznych wydarzeń. I nadszedł rok 1918. Z kurzu bitew, z morza krwi i łez ludzkich, z gruzów i pożogi, z wysiłków dzieci i starców, z modlitw matek zmartwychwstała ONA! Od wieku półtora okuta w kajdany, od sześciu pokoleń marzona i upragniona, powstała jasna, wielka, wolna Ojczyzna — zwycięsko strząsając porwane okowy. Tej wielkiej, radosnej chwili, doczekała stara lipa, czcigodny świadek dni chwały i upadku, aż wreszcie świadek odrodzenia Ojczyzny.

W malutkiej kapliczce postawionej tymczasowo u jej stóp zabrzmiały dziękczynne modły, zabrzmiało pierwsze Te Deum w wolnej Polsce. Stara lipa szumiała, z bogatego jej listowia padały gęste krople rosy, jak łzy radości, z gęstego jej kwiecia wznosiły się wraz z kościelnem kadzidłem wonne opary, dążąc do stóp Przedwiecznego w kornej podzięce za wolność. Stara lipa gotowała się długo jeszcze służyć nowym pokoleniom, długo jeszcze pragnęła cieszyć się ich radością.

Minęły chwile pierwszych uniesień, poczęto wygładzać i zacierać szczerby strasznej wojny. Odrestaurowano nowy kościół, oczekiwano jego konsekracji, którą obchodzić chciano najuroczyściej. Prócz kościoła uporządkować należało i jego położenie. W czyjejś nieszczęsnej głowie wylągł się z aplauzem przyjęty projekt otoczenia kościoła żelaznemi sztachetami. Projekt w czyn wprowadzono, a że stara lipa dwumetrowej przeszło średnicy rosła akuratnie na terenie tego parkanu, zrąbano bez litości czcigodne drzewo, zniszczono bez najmniejszego pietyzmu tego świadka minionych wieków Dla uczynienia miejsca pomalowanym sztachetom nie wahano targnąć się na życie tego pomnika roślinności — jakiemu mało w świecie podobnych.

I w wolnej Ojczyźnie legła Ona, Ta, co przetrwała wieki, burze i gromy, legła bezpotrzebnie jedna z ostatnich

„Gargatun" i „Skrzekot".

Mieszaniec głuszca z cietrzewiem.

Opinja ś. p. Jana Sztolcmana.

Od jednego z miłośników przyrody, dra F. K., zamieszkałego w Krynicy i posiadającego tam zbiór wypchanych głuszców, cietrzewi i ich mieszańców, otrzymałem w swoim czasie wiadomości, które tu przytaczam dosłownie:

„Wywiązując się z przyrzeczenia, donoszę, że mieszańce, pomimo sprzeciwów ze strony uczonych przyrodników, są następujące:

„Koguta głuszca z cieciorką i koguta cietrzewia z głuszycą. Dwa te typy różnią się od siebie. Mieszaniec pierwszy ma ogon prosty, jak głuszec, nad oczyma słabe brwi czerwone; drugi zaś mieszaniec ma ogon lirowaty, a nad oczyma brwi mocno czerwone, podobnie jak cietrzew.

„Egzemplarze obu mieszańców, wypchane, posiadamy u siebie w Krynicy.

„Każdy z tych mieszańców ma swoją nazwę, utartą tu tak w języku myśliwskim, jak ludowym. Pierwszy zwie się „*skrzekot*", drugi „*gargatun*".

Zainteresowany już oddawna tą sprawą, zwróciłem się następnie do ś. p. Jana Sztolcmana z zapytaniem, czy nauka uznaje obie te odmiany mieszańców i ich odmienne nazwy, względnie, czy nazwy te są synonimami.

W odpowiedzi otrzymałem pismo z dnia 5. kwietnia 1928., zawierające następującą opinję:

„Co się tyczy nazw „*gargatun*" i „*skrzekot*", to nie jest ustalone, której z nich używać. Przed wojną nie znałem nazwy „*skrzekot*" i wtedy zastosowałem litewską nazwę „*gargatun*" dla mieszańca głuszca z cietrzewiem. Gdy po wojnie usłyszałem doskonałą nazwę polską „*skrzekot*", — zacząłem ją stosować Według mnie, mieszaniec koguta głuszca z kurą cietrzewia nie istnieje (ze względów czysto fizycznych, — kogut głuszca jest za duży dla kury cietrzewia, więc spółkowanie jest niemożliwe). Mimo to dr. Meyer w swej monografji głuszca wymienia go. Daje on w swym atlasie figurę skrzekota typu głuszcowego (jakoby głuszec samiec skrzyżowany z cietrzewiem samicą) oraz skrzekota typu cietrzewiego (cietrzew samiec skrzyżowany z kurą głuszca). Pierwszy z nich jest zupełnie podobny do koguta głuszca, tylko, że jest wielkości kury głuszca. Otóż my mamy absolutnie taki sam egzemplarz wypchany i ja jestem skłonny mniemać, że to jest bardzo stara kura głuszca, która straciła płodność i przybrała cechy koguta. Mamy cieciorkę, ubarwioną jak kogut i z ogonem lirowatym, ale brak jej zupełnie korali. Jeżeli powyższe moje uwagi są słuszne, to należy stosować jedyną nazwę „*skrzekot*", jako czysto polską do mieszańców cietrzewia z głuszcem".

Opublikowanie tego pisma uważałem za wskazane, zarówno ze względu na ciekawy temat, jak i dlatego, że było ono niewątpliwie jednem z ostatnich, skreślonych ręką naszego znakomitego przyrodnika, wkrótce potem zmarłego.

W. Z.



Popielaty bocian.

Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie posiadło niezwykły okaz bociana. Jest to nasz bocian biały (Ciconia alba) ubarwiony jednak w ten sposób, że te częci upierzenia, które mają być białe, są u niego popielate, czarne pozostały czarnemi. Barwa popielata przypomina ubarwienie żórawia.

W przypuszczeniu, że Czytelników „Łowca" zainteresują bliższe szczegóły o spotkaniu i ubiciu tak niezwykłego okazu, zwróciliśmy się o nie do p. Marjana Małaczyńskiego, od którego egzemplarz pochodził i przytaczamy je w całości, z otrzymanego listu:

„Roku zeszłego (1927), gdy jeszcze przemieszkiwałem w Pikułowicach p. Lwów, dnia 30. sierpnia zostałem wywabiony z domu niezwykle licznym przelotem bocianów, których ilość oceniałem na parę tysięcy sztuk. Wyszedłszy poza obręb domostw, zastałem pola, łąki i pastwiska obsiane bocianami, a oprócz tego setki bocianów krążyły w powietrzu. Tak silnego nalotu bocianów jeszcze nigdy przedtem w życiu nie widziałem; toteż usiadłem nad przydrożnym rowem i obserwowałem przez szkła bociany krążące. Podczas obserwacji wpadł mi w oko jeden osobnik, który wyróżniał się jakiemś ciemniejszem, jakby zabrudzonem upierzeniem i prawie czarnym dziobem i takiemiż nogami. Nie spuszczając tego osobnika z oczu, spostrzegłem, że wraz z innymi zasiadł on na łące. Wykorzystując teren, zbliżyłem się jeszcze i przez szkła dostrzegłem, że bocian ten jest popielaty, jak żóraw, z wyjątkiem skrzydeł, które są czarne. Pod osłoną wału kolejowego podszedłem wreszcie na daleki strzał i strzeliwszy w chwili podrywania się ptaków do lotu, ubiłem sztukę upatrzoną dwiema, jak się okazało, śrucinami. Bocian miał na nodze obrączkę z następującym napisem:

Vogelwarte Rossitten
Germania B. 14500
Retour!

Kukizów, p. Jaryczów Nowy, dn. 14. X. 1928."

* * *

W uzupełnieniu tej wiadomości należy dodać, co następuje: Zarząd Muzeum Dzieduszyckich odesłał obrączkę pod wskazanym adresem i otrzymał odpowiedź, że obrączka ta była w lipcu 1925 oddana do dyspozycji stacji w Tylży. Dalsze wyjaśnienia są oczekiwane. Obrączkowanie przypuszczalnie zostało dokonane jeszcze w gnieździe, gdy ptak nie zdradzał niczem przyszłego, tak niezwykłego upierzenia. Rzecz ciekawa, że, jak nas informują ze strony wiarygodnej, drugi podobny okaz bociana pojawił się w ostatnich latach w pewnej miejscowości powiatu samborskiego. Nie mógł to być egzemplarz tensam, bo widziano go jeszcze w roku bieżącym.

W. Z.



Na pamiątkę 50-letniej rocznicy istnienia „Łowca“ Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego wydał własnym nakładem znakomity cykl utworów KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO pod tytułem:

„WSPOMNIENIA Z ŻYCIA ŁOWIECKIEGO“

jak już o tem Członkom MTŁ. doniósł prospekt, rozesłany pocztą.

Przypominamy, że Członkowie nasi mogą to wydawnictwo nabywać po cenie prawie do połowy zniżonej, a mianowicie po

3 zł. 50 gr. za egzemplarz,

podczas gdy cena w handlu wyniesie około 6 zł.

Ponieważ jednak egzemplarzami po cenie zniżonej dysponujemy tylko do końca b. r., przeto prosimy tych Członków, którzy dotąd zamiaru nabycia książki nie zgłosili, o rychłe zamówienie przy użyciu dostarczonej poprzednio karty korespondencyjnej, dla wygody zaś załączamy ponadto do dzisiejszego numeru czek P. K. O., którym także można wpłacać należytość z doliczeniem 90 gr. na koszta przesyłki poleconej, czyli razem 4 zł. 40 gr.

Książka obejmuje, jak donieśliśmy, 15 arkuszy druku na ładnym papierze i ozdobiona jest portretem ś. p. autora. W najbliższych dniach rozpoczynamy rozsyłkę egzemplarzy zamówionych. Samo się przez się rozumie, że każdy nasz Członek ma w razie potrzeby prawo nabyć po cenie zniżonej dowolną ilość egzemplarzy.

Wydział M. T. Ł.

SPRAWY TOWARZYSTWA

Wezwanie do P. P. Delegatów

Z kilku stron doniesiono nam, iż stan zajęcy jest w bieżącym sezonie bardzo słaby, a ponieważ pojawiły się także głosy, żądające od nas, byśmy u kompetentnych czynników wyjednali wcześniejsze zamknięcie polowania na zające, przeto wzywamy Panów Delegatów, by swoje w tym względzie spostrzeżenia bezzwłocznie nadesłali.

Z Wydziału M. T. Ł.

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie.

Zaproszenie na ogólne zebranie członków.

Z prawdziwem zadowoleniem wita Oddział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie wiadomość o usunięciu ostatnich formalnych trudności w urzędowej legalizacji Oddziału. Tuszymy, że Oddział w przyszłym całokształcie swym i przy poparciu członków przyczyniać się będzie mógł tem skuteczniej do pomyślnej ochrony i rozwoju łowiectwa w terytorjalnym zakresie swego działania.

Celem złożenia, wstrzymanego dotąd rocznego sprawozdania z czynności i rachunków za rok 1927, oraz przeprowadzenia formalnego wyboru całego Zarządu Oddziału, zwołujemy niniejszem

ogólne zebranie członków

na niedzielę dnia 23 (dwudziestegotrzeciego) grudnia br. na godz. 11. przedpołudniem w sali Towarzystwa Strzeleckiego w Krakowie, ul. Lubicz 16.

Na powyższe Ogólne zebranie zapraszamy do obrad i głosowania **wszystkich obecnych członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zamieszkałych na terytorjum Województwa Krakowskiego** t. j. tych, którzy należeli do byłego Towarzystwa Łow. Zachodnio-Małopolskiego, oraz tych, którzy nie byli jego członkami.

Porządek dzienny Ogólnego zebrania:

1. Zagajenie. 2. Odczytanie protokołu z poprzedniego Wal. Zgromadzenia. 3. Sprawozdanie z czynności i zamknięcia rach. za r. 1927. 4. Sprawozdanie Komisji Kontrol., oraz wniosek o udzielenie Wydziałowi absolutorjum. 5. a) Sprawa formalnego rozpoczęcia działalności Oddziału M. T. Ł. w Krakowie, — b) Wybór Prezydjum, całego Wydziału i Komisji rewizyjnej Oddziału. 6. Wnioski i interpelacje.

Ze względu na ważność spraw i wybory całego Zarządu pożądanym jest liczny udział w Ogólnem zebraniu, o który też wszystkich wyżej pomienionych P. P. Członków prosimy.

Kraków, dnia 12 listopada 1928 r.

Za Wydział Oddziału Małop. Towarz. Łow. w Krakowie

Stiller, em. gen. dyw. — Prezes
Morawetz. — Sekretarz

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Z Drukarni Narodowej, Lwów, Szajnochy 2. — Tel. 21-35.

BROŃ — AMUNICJA

Specjalność:

BROŃ KULOWA



Zastępca firm:

Springer - Heym - Dumoulin.

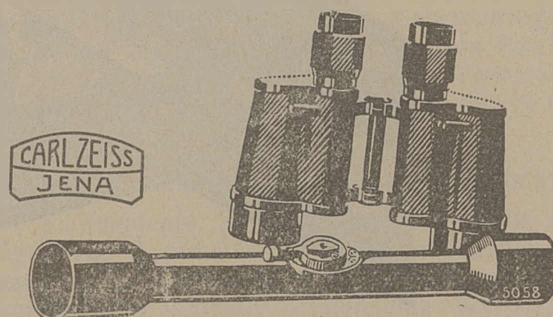
WAŻNE DLA KAMIENIOŁOMÓW:

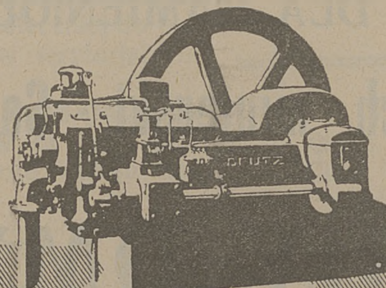
Amonit - Proch minierski - Saletra - Lonty.

EUSTACHY DMYTRACH

Lwów, Legjonów 3., Tel. 32-46.

Warsztaty rusznikarskie.


CARL ZEISS
JENA
5058


DEUTZ

KTO MA???

przepuklinę i zaniedbuje ją, jest

MORDERCĄ

wobec siebie samego i wobec

WŁASNEJ ŻONY I DZIECI.

Radzimy przeto wszystkim cierpiącym na przepuklinę, udać się natychmiast do światowej firmy:

M. FREILICHA, Lwów, Gródecka 35.

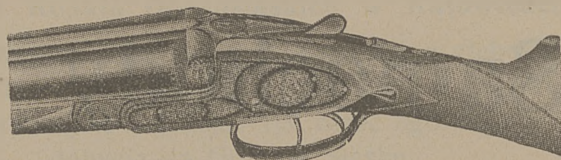
gdzie zapomocą nowo wynalezionych bandaży usuwa się przepuklinę u kobiet, mężczyzn i dzieci całkowicie bez bolu i operacji.

Świadczą o tem uzyskane w ciągu przeszło 60 lat złote medale, doktorat honorowy, różne dyplomy, oraz mnóstwo listów dziękczynnych od WPP. Profesorów, Lekarzy i Dygnitarzy. OPASKI BRZUSZNE na obniżenie żołądka i jelit dla kobiet i mężczyzn, można pocztą zamówić. OPASKI PRZEPUKLINOWE natomiast, dostosowuje się tylko osobiście, przeto przyjazd do Zakładu jest konieczny.

Józef SPLICHAL SYN

Pierwsza Pracownia i Magazyn Broni

Kraków, ul. Sławkowska 16.



Uskutecznia precyzyjnie i w najkrótszym czasie wszelkie reperacje broni: nowe osady, montowanie lunet, ostrzeliwanie broni kulowej. Poleca wielki wybór broni myśliwskiej, precyzyjnej małokalibrowej własnego wyrobu, jakoteż pierwszorzędnyeh fabryk zagranicznych, — oraz

wyborową amunicję i przybory myśliwskie

Polskie Przedsięb. Ochrony Łowiectwa św. Huberta

Rzędówka p. Leszczyny — Górny Śląsk

przyjmuje już teraz zamówienia na żywą zwierzynę:



zające, bażanty, wszelki gatunek kuropatw, oraz na zwierzynę grubą dla odświeżenia krwi i podniesienia zwierzostanu. Dostawa: grudzień, styczeń, luty. marzec.

Żądać cennika i warunków dostawy.

Wszelką zwierzynę, rogi, kły

preparuje trwale

F. M. Złotnicki

LWÓW, Pasaż Hausmana 8. Tel. 56-29.



Vorreitha Oliwa.

Najodpowiedniejszy podarek gwiazdkowy.

Orzeczenie po dwuletniem używaniu oliwy Vorreitha:

Freiherr von Bischoffshausen, Freierswald — pisze: „Używając czas dłuższy oliwy Pańskiej do natłuszczania sztucerów i śrutówek, zapewniam Go o nadzwyczajnych skutkach i jej działaniu, zaco wyrażam Panu ponownie moje uznanie i zadowolenie".

Zamówienia uskuteczniać w składach broni.

WYTWÓRNIA:

Nadleśniczy MAX VORREITH

AUSSIG A/ELBE, Humboldstrasse.

DLA ODŚWIEŻENIA KRWI

żywe zajęcy, tak polne jak i leśne, kuropatwy, bażanty, sarny, jelenie, oraz inną zwierzynę, łowioną na wolnych terenach na Węgrzech, Czechosłowacji, Jugosławji, Austrji najlepszej jakości i nadającej się świetnie dla hodowli oraz odświeżenia krwi



oferuje

Firma

R. NERLICH, Bielsko — Śląsk

Każdy Myśliwy wie o tem, że grunt, to dobre śniadanie i kupuje przewyborne wędliny jak:

Szynkę, Wędzonkę, Polędwiczkę, Kiełbasę, dalej Wódki, Koniaki, Wina, Konserwy rybne, Sery

i wszelkie delikatesy — tylko

u Zofji Teliczek, Lwów, Akademicka 6

Telefon 34-41.

Płótna, Bielizna stołowa, ręczniki i t. d.

Makaty buczackie — z Tkalni ARTURA hr. POTOCKIEGO w Buczaczu

Kilimy Gliniańskie

poleca

PIOTR NUZIKOWSKI

Lwów — ul. Szajnochy 2

Polskie Przedsiębiorstwo Ochrony Łowiectwa św. Huberta — Rzędówka p. Leszczyny — Górny Śląsk

poleca przez swoje biuro rekomendacyjne personal od nadleśniczego do dozorców i gajowych. Dla Oficerskich Klubów Myśliwskich i Stowarzyszeń Łowieckich, — poleca specjalnie wykwalifikowanych w łowiectwie na dozorców łowiectwa, również młodych wykwalifikowanych pomocników w hodowli bażantów, oraz jako strzelców za wynagrodzeniem.

Wolny stół i kieszonkowe.

Elektryczne urządzenia dworów o własnej centrali elektrycznej

uskutecznia na dogodnych warunkach spłaty

F-ma „TECHNIKA"

Lwów, ul. Lenartowicza 12., Telefon 12-00.

Porady techniczne oraz kosztorysy bezpłatnie.

Wydział Spółki Łowieckiej w Suchodole, powiat Bóbrka, wydzierżawi prawo polowania na gruntach gminnych, w obszarze 800 ha 58 a, na lat 6 od 1 lutego 1929 począwszy, za czynszem rocznym. Cena wywołania 570 zł. Licytacja odbędzie się w Urzędzie gminnym w Suchodole dnia 21. grudnia 1928 r. godz. 13, — gdzie warunki są do przejrzenia.

Zwierzchność Gminy Suchodół, Sofiński, Naczelnik Gminy.

Od Administracji.

Nowa Ustawa Łowiecka ogłoszona Rozp. Prezydenta Rzeczyposp. z dnia 3. XII. 1927 r., jest do nabycia w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, ul. Ossolińskich 11. w cenie po 80 gr. za egzemplarz bez doliczenia porta.

Przetarg na tereny łowieckie.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Wilnie (Wielka 66) ogłasza niniejszem przetarg ustny i za pomocą ofert pisemnych na tereny łowieckie Dyrekcji, który się odbędzie w lokalu Dyrekcji **w dniu 21 grudnia r. b. o godz. 12-tej** i obejmuje 34 grupy terenów przestrzeni od 100 do 9.000 ha o ogólnej powierzchni ± 80.000 ha.

Prócz tego w tym samym dniu odbędą się lokalne przetargi w Nadleśnictwach: 1. Trabskiem (folw. Dorożki, poczta Juraciszki); 2. Uszańskiem (Wielkie Hranicze, poczta Kraśne nad Uszą); 3. Brasławskiem (Czerwony Bór, poczta Brasław); 4. Duniłowickie (Borowo, poczta Duniłowicze); 5. Święciańskiem (Nowo Święciany); 6. Dziśnieńskiem (Głębokie, ul. Zamkowa Nr. 1.); 7. Stołpeckiem (Balewicze, poczta Derewno); 8. Smorgońskiem (Naroty, poczta Smorgonie); 9. Różankowskiem (Łagody, poczta Szczuczyn Lidzki) i 10. Rudnickiem (Wieczoryszki, poczta Rudniki k. Jaszun). Ogółem na 52 grupy terenów o przestrzeni ± 40.000 ha.

Umowy będą zawierane na 6 lat. Wszelkich informacyj pisemnych i ustnych (pokój Nr. 11) udziela Dyrekcja w godzinach urzędowych.

DYREKCJA LASÓW PAŃSTWOWYCH W WILNIE.

Na 6-cio miesięczne raty



poleca

Najmodniejsze materjały na ubrania i płaszcze męskie oraz na suknie i kostjumy damskie.

Jedwabie, Pończochy i wszelka galanterja w największym wyborze.

Główny skład wyrobów Leszczkowskich.

Nowo zesortowany skład obuwia i śniegowców

poleca pod nowem kierownictwem

Małopolski Zakład Odzieży

ŻUROWSKI, ZALESCY i S-ka

Ska z ogr. odpow.

Lwów, ul. Szpitalna 1. Telefon 53.

Z drukarni Narodowej — Lwów, Szajnochy 2.; Tel. 21-35.